

odgłosy



23. VIII. 1970 r.

34 (666)

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Stowa za chawirę

W końcu czerwca o godzinie ósmej rano zatłoczona warszawska lux-torpeda dotarła na dworzec w Swinoujściu. Objuczeni podróżni, depcząc się i przepychając, wylegli na perony i rozpoczął się wielki młyn; nawoływania, wrzaski, płacz dzieci, cikliwe szeptu sezonowych tragarzy... ruszyli w bój taksiarze, ubijając szczerlinie ludzi i bagaże w odrapanych samochodach... ruszyli w bój miejscowi cwaniacy, gotowi wypuścić mieszkanko, które ma w tutejszym slangu, w zależności od wieku, ubioru i postawy klientów, kilka dowcipnych synonimów: willa, dom, chata, meta, boisko: czyli plac seksualnych zmagania, kotłownia, kamera, garaż i...

— Potrzebujesz pan chawirę? — zachodzi mnie z boku typas w przykurzonym garniturku.

— Nie — mówię. — Nie potrzebuję. I wsiadam na prom. A za mną inni rozsądni obywatele, kandydaci na wielki beztrudny odpoczynek. Wiemy przecież, że aby dotrzeć nad morze, trzeba przepłynąć ten brudny, tłusty od smarów i oliwy kanał, że bałtyckie Eldorado, ochrzczone na wzór bułgarski mianem Słonecznego Wybrzeża, zaczyna się dopiero tam — po drugiej stronie mętnej wody, którą rozgarnia właśnie nasz statek.

Cumujemy.
No, a jakże! Tu też czyha na letników potężna armia mieszkaniowych stręczycieli.

I znowu:

— Potrzebujesz pan chawirę?

— Gdzie? — pyta jakiś pan z trojgiem dzieci.

— Niedaleko.

— Ile?

— Do soltysa nie pójdziemy...

Obie strony: letnicy i stręczyciele — są jeszcze w niepewności. Można wygrać, można stracić. Przecież to dopiero koniec czerwca. Początek sezonu. Nie wiadomo, czy dopisze pogoda. Nie wiadomo, czy powtórzy się wielki najazd szwedzki z ubiegłego roku i wielka wędrówka ludu polskiego z centralnych dzielnic kraju. Tamtego pamiętnego lata zdobycie pokoju czy choćby najgorszej rudery było dla wielu sennym marzeniem. Łóżko kosztowało pięćdziesiąt złotych, ale jeśli było tylko trochę szersze od ludzkiego ciała, liczyło się podwójnie: stowa. STOWA! Bo chociaż spaleś sam, właściciel wbił ci do głowy, że mógłby na tym legowisku pomieścić z powodzeniem jakąś zakochaną parkę albo matkę z dzieckiem, że przecież nie może być stratny, że przecież zawsze znajdzie chętnych — i to było prawdą. Chętnych było więcej niż łóżek.

Ale to już przeszłość. Los potrafi platać figle. I nie tylko ganiającym za mieszkaniami letnikom. Wczoraj tok w Swinoujściu i Międzyzdrojach, dzisiaj: anno domini siedemdziesiąt — wielotysięczne chmary wczasowiczów mogą nagle wziąć kurs na Wybrzeże Gdańskie, albo przenieść się nad jeziora. Stąd nerwowość stręczycieli: czekać na rozwój wypadków, czy werbować do willi, kotłowni i garaży wymęczonych turystów? Jaka ma być cena wywoławcza? Czterdzieści od łóżka? Pięćdziesiąt?



Fot.: GERARD PUCIATO

Dalszy ciąg na str. 5

Klucz do mieszkania

Rozmowa z prezesem

Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej

„Lokator”

mgr Stefanem Bortkiewiczem

Kiedy w Łodzi w roku 1915 powołano do życia Towarzystwo „Lokator”, które miało bronić interesów lokatorów przed wyzyskiem kamieniczników, nikt nie przypuszczał, a i chyba główny inicjator wielkiej akcji dr M. Kaufman także, że po 55 latach RSM „Lokator” będzie nie tylko najstarszą, ale i największą w Łodzi, a drugą w kraju, spółdzielnią mieszkaniową.

I kiedy w roku 1936 zakończono budowę ostatniego z sześciu domów przy Lokatorskiej, pod które położono fundamenty jeszcze w roku 1925, nikt nawet nie marzył, że w latach 1959 — 1962 spółdzielnia odda swoim członkom 2.456 izb, a w roku 1964 — 1.559 izb mieszkalnych.

— Ale najwięcej mieszkań „Lokator” oddał członkom Spółdzielni dopiero po jubileuszu pięćdziesięciolecia?

— Rzeczywiście. Najburzliwszy roz-

wój „Lokatora” rozpoczął się w roku naszego 50-lecia, czyli w 1965. Gdyby sięgnąć do liczb, to w tej chwili — a są to dane z końca czerwca — w eksploatacji znajduje się 12.754 mieszkań o powierzchni użytkowej ponad pół miliona metrów kwadratowych i 169 lokali usługowych o powierzchni ponad 20 tys. metrów kwadratowych. Te liczby umieszczają nas na drugim miejscu w kraju — po Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej.

Drugim takim miernikiem będzie ilość członków — 23 tysiące, w tym 12 i pół tysiąca już mieszkających i ilość kandydatów — 8 i pół tysiąca. Czyli w sumie 31 tysięcy rodzin, albo inaczej — 100 tysięcy ludzi związanych aktualnie ze Spółdzielnią.

— Gdzie w tej chwili buduje „Lokator”?

— Najważniejszą realizowaną obecnie dzielnicą mieszkaniową jest Teofilów, składający się z trzech zespołów osiedlowych. Na pierwszym

osiedlu A. — im. Władysława Reymonta, rozpoczęliśmy budowę w roku 1963, całkowite zakończenie przewidziane jest na rok przyszły. Osiedle Teofilów B — im. St. Zeromskiego zostało rozpoczęte w roku 1965 i z wyjątkiem osiedlowego ośrodka usługowego, którego budowa przeciąga się na przyszłą pięcioletkę, zostanie zakończone również w roku 1971.

Wreszcie trzeba krótko przedstawić trzecie osiedle — Teofilów C, które ma być największe z dotychczas wymienionych. Pierwsi mieszkańcy wprowadzili się tu dopiero w roku ubiegłym i jest to obecnie teren intensywnej zabudowy. Nie ma nawet jeszcze nazwy, chociaż mieszkańcy już zaproponowali, aby Teofilów C przyjął imię M. Konopnickiej.

— To znaczy, że Teofilów będzie jeszcze w bieżącej pięcioletce placem budowy. Jakie będą inne?

— W planach na lata 1971—1975 u-

Dalszy ciąg na str. 3



Wydarzenia potoczyły się tak szybko, że wyprzedziły tok produkcyjny tygodnika. Dopiero było parafowanie układu ZSRR — NRF, a już nastąpiło uroczyste jego podpisanie. Pobyt z tej okazji w Moskwie W. Brandta — pierwszy po 14 latach pobyt w stolicy ZSRR kanclerza rządu zachodniemieckiego — wypełniony został rozmowami z przywódcami Zw. Radzieckiego. Można z całą pewnością stwierdzić, że nie ograniczyły się one tylko do stosunków bilateralnych.

Takie zresztą — nie tylko bilateralne — jest znaczenie moskiewskiego układu, który traktuje przecież o kwestiach dla Europy najważniejszych — o pokoju i współpracy.

Co jest jego najbardziej znamiennej cechą? Rzeczywistość, pełna jej akceptacja przez stronę zachodniemiecką. Trzeba było aż ćwierć wiecza, aby do tego doprowadzić.

Poszanowanie integralności wszystkich państw w Europie w ich obecnych granicach, wykluczenie jakichkolwiek roszczeń terytorialnych, uznanie za nienaruszalne — obecnie i w przyszłości — granic wszystkich państw europejskich, a w tym zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie oraz granicy NRD—NRF — oto najważniejsze elementy tego realizmu. Rządów Adenauera, Erharda i Kiesingera nie było stać na to, więcej — czyniły wszystko, aby aktualnej politycznej mapy Europy nie dostrzegać i kwestionować ją. Chadecki gabinet NRF rewizjonizm podniósł do rangi podstaw swej polityki.

Brandt przerwał krąg złudzeń, którym uległ jego poprzednik, że mapę Europy można „poprawić”. Stał na granicy rzeczywistości i to właśnie umożliwiło zawarcie układu ZSRR, w którym NRF akceptuje tę rzeczywistość i wyrzeka się w stosunkach z ZSRR stosowania siły.

Układ jest wynikiem wieloletnich zabiegów Związku Radzieckiego, Polski i innych krajów socjalistycznych o potwierdzenie europejskich faktów i stwarzanie przesłanek systemu bezpieczeństwa na naszym kontynencie. Oczywiście jego praktyczna wartość uzależniona jest od tego, jakimi faktami w swej polityce rząd NRF wypełni układ, wyrażone tam intencje oraz po stanowienia ujęte w preambule i pięciu artykułach. Premier Kosygin powiedział, że układ jest „wynikiem długotrwałych, czasem bardzo skomplikowanych rokowań”. To podkreślenie ma swoją wymowę, świadczy, że strona zachodniemiecka nie bez oporu godziła się na jednorazowe sformułowanie układu. Czy tylko z uwagi na zastrzeżenia brandtowskiej opozycji?

W powodzi zachodnich komentarzy na temat podpisania układu zbyt rzadko spotkać się można z akcentowaniem tego, że układ zaprzecza niejednokrotnie wypowiedzianym na Zachodzie poglądom jakoby kraje socjalistyczne nie były gotowe do konkretnych porozumień. Przypisanie tego nie jest wypadkiem komentatorów, choć o tej gotowości świadczą nie tylko układ, lecz również odprężenie bliskowschodnie, czy też niezmiernie ważne z punktu widzenia rozbrojenia — radziecko-amerykańskie rozmowy, których wiedeński etap właśnie zakończono.

Na moskiewski układ trzeba więc spojrzeć w szerokim kontekście polityki radzieckiej i europejskich krajów socjalistycznych, zwłaszcza zaś w kontekście bezpieczeństwa naszego kontynentu. Z rozwoju stosunków z NRF nie czyniliśmy nigdy warunku europejskiej konferencji, ale układ ZSRR — NRF, wymiana poglądów NRF — Polska na temat podstaw normalizacji czy też spotkania szefów rządów obu państw niemieckich — przygotowania do niej ułatwiają. Wizja Europy pokojowej i współpracującej zostaje przybliżona, a szanse konferencji, która ma temu torować drogę — zwiększone.

Niepokój z powodu podpisania układu ujawniają więc przede wszystkim ci, którzy są przeciwnikami europejskiej stabilizacji i eliminacji siły jako środka rozstrzygnięcia międzynarodowych problemów.

Znamienne, choć zróżnicowane, jest np. reakcja opozycyjnej CDU/CSU. Kiesinger stwierdził, że układ nie przewidywał podstawowych zastrzeżeń CDU. Barzel oświadczył, że przez propagandę rządową chce się wywołać wrażenie odprężenia, ale „CDU/CSU nie pozwoli sobie zaciemnić spojrzenia na rzeczywistość i nie da się upić słowami i propagandą”. Strauss zaś nazwał układ „kluczem do puszczy złej”. Część prasy NRF wykorzystala 13 sierpnia, 9 rocznicę postawienia muru berlińskiego, do podważania politycznej wartości układu.

Wszystko to nie dziwi — siły antypokojowe nie złożyły przecież broni. Choć wytrącono im wiele argumentów — będą nadal działać destrukcyjnie. Rzecz jednak w tym, i to jest tak że miernik wartości układu, że pole ich działania zawęża się.

We wrześniu odbędzie się kolejna runda rozmów PRL — NRF. Zapoczątkowano je z inicjatywy Polski — gotowością zawarcia układu na wzór zgorzeleckiego, zgłoszoną w maju ub. roku w przemówieniu Władysława Gomułki.

Przebieg tej rundy rozmów będzie kolejnym sprawdzianem woli rządu bońskiego pełnej akceptacji wyników II wojny światowej, powojennego rozwoju Europy oraz pokojowego współżycia.

W. SŁAWSKI

● Zawszqd o wszystkim ●

● Zawszqd o wszystkim ●

Szwajcarzy w defensywie

„DAILY TELEGRAPH” — Londyn

Pojawienie się elektronicznych zegarków, działających w oparciu o kryształ kwarcu, stało się początkiem nowej ery w produkcji zegarów. Dopuszczalna tolerancja w zegarkach tego typu wynosi od 1 do 2 sekund na miesiąc.

Firmy szwajcarskie nie szczędzą środków na reklamowanie swych kwarcowych zegarków, choć doskonałe wiedzą, że nie są już „pierwszym zegarmistrzem świata”. Japońska grupa przemysłowa „Seiko”, zajmująca drugie miejsce w świecie wśród największych kompanii przemysłu zegarmistrzowskiego (na pierwszym miejscu znajduje się amerykańska grupa przemysłowa), parę miesięcy temu rozpoczęła produkcję zegarków kwarcowych. Szwajcarzy utrzymują, że ich modele są technicznie lepsze. Jednakże już sam fakt, że Japończycy wchodzą do walki o rynki zbytu w tej dziedzinie, oznacza iż szwajcarski

przemysł zegarmistrzowski staje w obliczu groźnych konkurentów.

Szwajcaria jest wciąż jeszcze bezspornym liderem w światowej produkcji i eksporcie zegarków — 97 proc. zegarków idzie na eksport — niemniej wielcy konkurenci doganiają ją bardzo szybko. Na przykład w roku 1960 udział Szwajcarii w światowym imporcie zegarków wynosił około 99 procent. W roku 1966 udział ten zmalał do 71 procent.. Na rynku światowym coraz bardziej popularne stają się zegarki, produkowane w Związku Radzieckim.

Poza Szwajcarią, produkcja zegarków znajduje się w rękach zaledwie kilku gigantów przemysłowych, podczas gdy w Szwajcarii produkuje je aż 550 kompanii. Stawia to ją w bardzo trudnej sytuacji i bynajmniej nie ułatwia utrzymania pozycji światowego eksportera zegarków.

słów znaleźli się dwaj ministrowie i wicekanclerz rządu Kreisky'ego, który i bez tego nie dysponuje większością w parlamencie.

Ponieważ konstytucja austriacka nie przewiduje wyborów uzupełniających, „okrojony” parlament musiał pośpiesznie przyjąć odpowiednią poprawkę do ustawy zasadniczej. 472 tysiące mieszkańców owych trzech wiedeńskich okręgów wyborczych, których odąd nikt nie reprezentuje w parlamencie, stanowią około 10 procent ludności kraju, uprawnionej do głosowania.

4 października — po raz pierwszy w historii Austrii — będą oni musieli głosować w powtórnych wyborach. W myśl decyzji posłów, nikt nie może być skreślony z poprzednich list wyborców i nikt nie może być na nie wciągnięty dodatkowo. Postanowienie to jest absolutnym kuriozum: podczas jesiennych wyborów, na listach mogą się znaleźć ludzie, którzy tymczasem popełnili przestępstwa lub zmarli, natomiast obywateli, którzy 4 października osiągną pełnoletniość głosować nie będą mogli.

Emigranci

„MADRID” — Madryt

Wdziż straszliwie wyboistej, wyspanej żuźlem, tak zwanej „czarnej drogi”, która biegnie brzegiem rzeki Manzanares (leży nad nią Madryt), ciągną się setki pieczar. Gnieźdzą się w nich ludzie. Ta dzielnica nędzy znajduje się na peryferiach stolicy...

Obskurne pieczary zamieszkują robotnicy. Rodziny robotnicze osiedlały się wszędzie, gdzie tylko można było znaleźć choćby skrawek dachu nad głową. Jedne zajmowały opuszczone rudery po bezdomnych, inne budowały dla siebie coś w rodzaju wędrowni, a jeszcze inne zajęły owe pieczary, po zostaniu „z czasów wojny domowej”.

Ostatnio mieszkańcy tych nor napisali obszerną petycję do mera Madrytu.

„Najbardziej niepokoi nas los naszych dzieci — czytamy w petycji. Jak mogą się uczyć, mieszkając w takich warunkach? Dotąd szkoły u nas nie było. Zbudowaliśmy ją sami, tak jak umieliśmy: duży barak. Teraz przyjeżdża tutaj dwóch nauczycieli — jeden do chłopców i je-

den do dziewczynek. Prowadzą lekcje w różnym czasie, ponieważ wszystkie dzieci naraz nie mieszczą się w barak. Ucząc się w takich warunkach, niektóre dzieci kończą szkołę, ale nie umieją czytać...”

Budowa nowych lepiarek nie wolno. Zabrania się. A pieczary jak były, tak są. Nikt ich nie burzy, ponieważ rozpadają się same wskutek działania czasu i warunków atmosferycznych. Ubiegłej zimy kilka po prostu zapadło się. Rozmyła je woda.

W jak ogromnie ciężkich warunkach vegetują ci niezsześliwi ludzie, świadczą liczne zachorowania na reumatyzm i zapalenie płuc. Ale i to nikogo nie odstrasza: opuszczoną pieczarę zajmują natychmiast inna rodzina robotnicza.

Większość mieszkańców robotników przybyła z południa kraju i z Estremadury. Przyjeżdżają w poszukiwaniu pracy. Wielu spośród nich eksmitowano z mieszkań. Nie stać ich było na opłacenie czynszu, więc emigrują: Cóż im pozostało?

Inwazja węży-grzechotników

„TIME” — Nowy Jork

Fantazja Alfreda Hitchcocka powołała do życia niewielkie miasteczko prowincjonalne pustoszone przez inwazję ptaków-ludojadów. Mieszkańcom Pinola, miejscowości leżącej 14 mil od San Francisco, podobne zdziwienie może się wydać całkiem prawdopodobne. Oto już trzeci rok z rzędu, każdego lata, to małe osiedle zabudowane dwupiętrowymi domkami w stylu hiszpańskim, atakują niezliczone masy węży-grzechotników.

Węże pełzają po ulicach i trawnikach, zakładają gniazda na podwórkach i w garażach, przedostają się do piaskownic, do samochodów i do mieszkań. Rodzice nie puszczają dzieci na ulice, ostrzegają się wszystkich przed wężami, których długość dochodzi do półtora metra.

Inwazję węży-grzechotników tłumaczy się różnie. We dług jednej wersji — opuściły swoje górskie gniazda wskutek ulewnych deszczów w roku 1968. Według innej — winni są nacierze: silna

wibracja gruntu, spowodowana w wierceniami szybów, wypłoszyła grzechotniki z rejonów naftowych i zmusiła je do wędrówki na południe. Wydaje się jednak, iż obie wersje nie tłumaczą zjawiska wędrówki węży, bowiem wiercenia zakończono w ubiegłym roku, deszcze tego lata były niewielkie a mimo to inwazja grzechotników na Pinola trwa.

Dr N. Koen z uniwersytetu w Kalifornii wyjaśnia ten fenomen inaczej: „Osiedle wdarło się w otaczającą je przyrodę i jest niby bielmo na oku natury. Naruszyło ono w tym rejonie równowagę biologiczną. Ale czy tak jest istotnie?”

W walce z wężami zawiodły wszystkie znane dotąd środki chemiczne. Gdyby za stosować bardziej gwałtowne trucizny, zniszczyłyby one, obok węży, również króliki, jelenie, ptaki, zwierzęta domowe. Zniszczenie roślinności mogłoby spowodować nieoczekiwane klęski żywiołowe.

Wybory nr 2

„DER SPIEGEL” — Hamburg

Szesnaście deputowanych do parlamentu austriackiego „zawieszono” w czynnościach i odesłano na „odpoczynek” z zachowaniem uposażenia.

Jak uprzednio, korzystają oni z poselskiej nietykalności, jednakże nie wolno im ani głosować, ani uczestniczyć w debatach parlamentu; wiedeński trybunał konstytucyjny zakazał im wykonywania obowiązków poselskich.

— „Dziwna sytuacja” — określili to kanclerz austriacki Bruno Kreisky, przywódca partii socjalistycznej.

— „Ta sytuacja nosi znamiona kryzysu” — uściślił określenie kanclerza, specjalista z dziedziny prawa konstytucyjnego, profesor Winkler.

„Kaszy nawarzyła” prawicoworadykalna NDP, poplecznik zachodniemieckiej (nie onastowskiej — red.) par-

tii o tej samej nazwie. Zgodnie z prawem austriackim, do wysunięcia kandydata do wyborów do parlamentu jest konieczne uprzednie — w każdym okręgu wyborczym — opublikowanie spisu przy najmniej 200 osób, popierających danego kandydata. Ponieważ NDP miała zbyt małą liczbę zwolenników, przed 1 marca, więc przed dzień wyborów, zabrała się ona gorliwie do podrabiania spisów.

Komisja kontroli przebiegu wyborów nie wzięła pod uwagę sygnałów o dokonywanych fałszerstwach. Tuż po wyborach okazało się, że brunatna partia, na której czele stoi organizator aktów terrorystycznych w Południowym Tyrolu, Norbert Burger, podrobiła ogółem 73 podpisy, w pierwszym, trzecim i piątym okręgach wyborczych stolicy.

Wśród „zawieszonych” po-

Trzy krowy rocznie...

„TIMES” — Londyn

Przedstawiciele Francuzów i Hiszpanów znów spotkali się na granicy w Pirenejach na wysokości 1500 metrów, w pobliżu szczytu Saint-Martin, przy słupie granicznym nr 262. I tym razem strona francuska przekazała stronie hiszpańskiej swoją coroczną daninę — trzy krowy.

Ludność francuskiej doliny Bartsu składa ją ludność hiszpańskiej doliny Ronqual już przeszło dwa tysiące lat. Jak notują kroniki, na przestrzeni długiej historii obu krajów, tylko trzykrotnie nie dotrzymali Francuzi terminu złożenia daniny: w roku 1373, gdy chłopcy z Bartsu wręcz odmówili jej składania (z tego powodu doszło do bitwy na szczycie Saint-Martin, po czym tradycję wznowiono), w roku 1794, gdy na

stąpiła trzydniowa zwioka, spowodowana wojną francusko-hiszpańską i wreszcie w roku 1944, gdy niemieccy okupanci nie zgodzili się na przeprowadzenie trzech krow przez granicę. W związku z tą ostatnią przeszkodą, po zakończeniu wojny, chłopcy z doliny Bartsu, przez trzy lata z rzędu, doprowadzali do punktu granicznego cztery krowy...

Kiedy i dlaczego zrodziła się tradycja tej „wiczestnej daniny” francuskich chłopów — nikt dokładnie nie wie. Historycy utrzymują, iż jej początki sięgają, w przybliżeniu 125 roku przed naszą erą. Ponoć w owym czasie hiszpańska ludność z doliny Ronqual wsparła orężnie francuskich chłopów z doliny Bartsu, gdy nspadli ich przybysze z północy.

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- ★ PROF. WŁADYSŁAW JEWSIEWICKI — Wrzesień 1939 w obiektywie kamery
- ★ JAN BĄBIŃSKI — Green-mamba i malaria
- ★ ANDRZEJ GRUN — Quo vadis plastyko? oraz felietony, recenzje, film, nowela kryminalna.

● Zawszqd o wszystkim ●

JAN KOPROWSKI

W STO LAT PÓŹNIEJ

W 12 tomie Wielkiej Encyklopedii Powszechnej pod hasłem „Wodolecznictwo” możemy przeczytać m. innymi: „W Polsce pionierami wodolecznictwa byli Jan Norbert Zniniewicz (1872—1952) i jego siostra Janina Zniniewicz (1882—1945).”

Okazuje się, że nawet na tak poważnym źródle naukowym jak encyklopedia polegać nie należy. Każdy, kto interesuje się historią wodolecznictwa w naszym kraju, wie, że komu jak komu, ale przede wszystkim doktorowi Janowi Bielińskiemu trzeba przyznać palmę pierwszego pioniera hydroterapii polskiej. Nie kwestionując zasług rodzeństwa Zniniewiczów, zauważymy, że Jan Kapistran Bieliński urodził się w Bilgoraju w 1834 roku, czyli o 38 lat wcześniej niż Jan Norbert Zniniewicz i o 48 lat wcześniej niż jego siostra Janina, a swój pierwszy w Polsce i drugi w Euro-

pie Zakład Hydropatyczny zbudował w Nowym Mieście nad Pilicą w 1879 r., kiedy obojga Zniniewiczów nie było jeszcze na świecie. Dziwne i zgola niezrozumiałe, że nazwiska jego nie ma w wielkiej Encyklopedii Powszechnej ani wśród haseł osobowych, ani ogólnych. Ponieważ w roku bieżącym przypada setna rocznica założenia polskiego Zakładu Hydropatycznego, wybrałem się specjalnie do Nowego Miasta, aby przekonać się na miejscu, co z pamięci o Janie Bielińskim ocalało i porozmawiać z ludźmi, którzy go jeszcze znali. Jan Bieliński (ojciec jego był rejentem) ukończył uniwersytet moskiewski w 1857 roku i pracował początkowo jako lekarz wojskowy. Na rok przed wybuchem powstania styczniowego udał się za granicę. Przebywał w Belgii i Francji, a następnie przeniósł się do Niemiec, gdzie w bawarskim mieście Worshofen poznał dra księdza Kneippa i, pracując w jego instytucji, przyswajał sobie metody leczenia wodą, słońcem i powietrzem. Wracając do kraju w 1865 lub 1866 roku i osiadł w Nowym Mieście nad Pilicą, które wydaje mu się terenem wprost idealnym do otworzenia Zakładu Hydropatycznego. Ożeniony z Wandą Sokolnicką, córką właściciela majątku w pobliskich Dołmanowicach, dysponuje poważnymi środkami materialnymi, które pozwalają mu zrealizować tak śmiało zamierzenia. Zakład Jana Bielińskiego przetrwał do 1914 roku. Wojna i zadłużenia finansowe, a także sytuacja rodzinna (jego córka i syn popełnili samobójstwo), przyczyniły się do upadku zakładu, on sam przeprowadził się do Warszawy, gdzie zmarł w rok po odzyskaniu niepodległości Polski (1919). Dziś po pawilonach wodolecznicznych nie ma śladu i tylko tablica na domu, w którym mieszkał ongi Jan Bieliński, przypomina mieszkańcom Nowego Miasta i przyjeźdźcom jego zasługi.

Zakład dr Bielińskiego znany był nie tylko w kraju, ale i poza jego granicami. W sezonie leczycyło się tutaj do 800 pacjentów, wśród których znajdowały się nie lada osobistości ze świata literackiego i artystycznego: Sienkiewicz, Orzeszkowa, Reymont, Czesław Jankowski (z Wilna), który pisał o Nowym Mieście w swej książce „Na marginesie literatury”, Chelmoński, Andriolli, Rodziewiczówna. Koncertował młody Paderewski, orkiestra Namysłowskiego, ponadto organizowano tu odczyty, zjazdy lekarzy i inne



Okolice Nowego Miasta nad Pilicą

Fot. J. Korpala



Późnobarokowy pałac z XVIII w. Obecnie Liceum Ogólnokształcące

impresy o charakterze naukowym i kulturalnym. Stałym gościem bywała w Nowym Mieście Narcyza Zmichowska, której rodzice posiadali majątek na terenach obecnej szkoły, osiedla mieszkaniowego i liceum. O pobycie Elizy Orzeszkowej w Zakładzie Hydropatycznym dr Bielińskiego pisał przed laty w „Dzienniku Łódzkim”. Przyjechała ona tutaj za namową założyciela i redaktora pierwszej w Łodzi gazety w języku polskim „Dziennik Łódzki”, Henryka Elzenberga, który drukował na swych łamach nowelę Orzeszkowej „Gedali” oraz przekłady jej i Marii Siemaszko z Iwana Franki. Wtedy też zainteresowała się Orzeszkowa Łodzią. Ślady tego zainteresowania znajdziemy w jej korespondencji z Elzenbergiem.

Nowe Miasto, wbrew swej nazwie, jest miastem starym, historia jego liczy sobie ponad sześć stuleci. Jest to jedno z tych miast, które sławne niegdyś i rozgłoszone, traciło z upływem lat na znaczenie, a po wielkim pożarze w 1843 roku nie zdołało powrócić do dawnej świetności. W roku, w którym Bieliński zakładał swój instytut, Nowe Miasto utraciło prawie wszystkie swoje dawne budynki i wał miejski. I chociaż odzyskało je znowu w r. 1916, nie przekroczyło nigdy liczby czterech tysięcy mieszkańców. W r. 1958 nawiedził Nowe Miasto straszliwy huragan, w wyniku którego powstały poważne zniszczenia i straty. Do dziś nie zdołało się miasto z tych ran wyłizać. O dawności miasta świadczy kościół barokowy, pałac Małachowskich i klasztor Kacpucynów z XVIII stulecia z biblioteką i licznymi dziełami sztuki. Ludzie utrzymali się tutaj z pracy w browarze, fabryce sukna, elektrowni i z handlu bydłem.

Tak było niegdyś. A jak jest dziś? Około 700 mieszkańców żyje z uprawy ziemi, pewna część z rzemiosła, jeszcze inni z pracy w handlu i wreszcie w szkolnictwie (znajdują się tutaj trzy szkoły: podstawowa, zawodowa i liceum). Nowe Miasto posiada dogodne warunki do rozwinięcia funkcji turystyczno-wczasowych, ale zdaje się, że nie docenia się tego należyście tam, gdzie się doceniać powinno. Leży ono w połowie drogi pomiędzy Łodzią a Warszawą. Dojazd dobry, choć brak linii kolejowej, wyjąwszy wąskotorowe połączenie ze stolicą. Nowe Miasto dzieli

los osad położonych na krańcach województwa, które wskutek tego wydają się trochę zaniedbane. Dokładne oględziny utwierdziły mnie w przekonaniu, że mogłoby tu powstać znakomity ośrodek wypoczynkowy Miasto położone na wzgórzu, doskonale zadrzewione, z wijącą się meandrycznie Pilicą — czegoż trzeba więcej. A już trudno zrozumieć, dlaczego dawny pałac Małachowskich zaliczony do budynków zabytkowych, jest zupełnie nie wykorzystany. Prawda, zakłady im. Obrońców Pokoju w Łodzi dźwierżają go na dwa miesiące letnie (lipiec i sierpień) jako obiekt kolonijny, ale poza tym głucho tutaj pustka. Tymczasem pałac ów przepięknie usytuowany w ogromnym parku i z urzekającym widokiem na dolinę Pilicy, nadawałby się na Dom Pracy Twórczej. Aż dziw, że nikt o tym nie pomyślał. Zwracam się tedy niniejszym do Ministerstwa Kultury i Sztuki, do władz wojewódzkich i Związków Zawodowych: — Panowie, zajmijcie się pałacem w Nowym Mieście! To wymarzone miejsce dla pracy i wypoczynku. Przyjeżdżać tu będą literaci, naukowcy, plastycy (co za plener!) na miesiące letnie i zimo-we. Domów tego rodzaju mamy w Polsce niewiele, a ten ze względu na swoje położenie bije „na głowę” podobne obiekty w Zakopanem, Oborach czy Sobieszowie na Dolnym Śląsku. Jestem nim urzeczony i nie wątpię, że każdy, kto się tu znajdzie, potwierdzi w pełni moją opinię.

Nowemu Miastu potrzebny jest jakiś „zastrzyk”. Oczywiście miasto awansuje najlepiej wówczas, gdy powstaje w nim przemysł, albo gdy się podnosi na wyższy szczebel administracyjny. Budowa zakładu przemysłowego nie jest tu, przynajmniej na razie, możliwa, a i na stworzenie siedziby nowego powiatu wcale się nie zanosi. Póki co, stwórzmy w Nowym Mieście ośrodek dla ludzi pracy twórczej, którzy rozstawiają je i zwrócą na nie uwagę. A na początek dobre i to.

P. S. Część danych biograficznych o doktorze Bielińskim otrzymałem od p. Stanisława Tkacza, któremu z tego miejsca pięknie dziękuję.

Klucz do mieszkania

Dalszy ciąg ze str. 1

względnie jest już rejonizacja. Naszym zasadniczym terenem będą Bałuty. Oczywiście przede wszystkim Teofilów. Jednak ze względu na historycznych — owe pierwsze sześć domów spółdzielczych przy Lokatorskiej — mamy enklawę także na Górnej, w rejonie ulic: Rzgowskiej, Gagarina, Pabianickiej i Pl. Niepodległości. Osiedle, które tam powstanie, będzie się zasadniczo różnić od tych, do jakich już przywykliśmy. Ponieważ jest to teren zabudowany, trzeba będzie tak wkomponować bloki, aby stare nie kłóciło się z nowym. Trzecim naszym placem budowy na najbliższe lata będzie teren przy ul. Stefana, między Lagiewnicką, Dolną, Zgierską i Julianowską, tzw. bliski Julianów. Ponadto będziemy jeszcze trochę budować na Zubardziu-Północ. W sumie w ciągu lat 1971—1975 chcemy oddać klucze do około 7500 mieszkań.

— Sporo zamieszania i niepokoju wywołała wśród członków rejoniza-

cja spółdzielni mieszkaniowych. Jak ten proces przebiega w „Lokatorze”?

— Nam akurat rejonizacja nie przysporzyła wielu kłopotów, bo do przekazania innym spółdzielniom mamy niewiele, zaledwie 10 proc. zasobów, przeważnie najstarszych domów z lat 1958—59. Przekazaliśmy również budowę Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, a objęliśmy tereny, o których już mówiliśmy, tzw. bliski Julianów. Natomiast rejonizacja nie może się podobać wszystkim mieszkańcom, bo nasi najstarsi członkowie, z bloków z lat 60-tych mają większe mieszkania od obecnych, a poza tym nie wszystkim odpowiada zmiana spółdzielni.

Bardziej natomiast niepokoi nas fakt, że wyjątkowo długo jesteśmy trzymanymi w niepewności, jeśli chodzi o uchwały dotyczące budownictwa-kosztów i metod przydziału. Aktualnie kończą się z dniem 1 stycznia 1971 roku, a o nowych jeszcze nic nie wiemy.

— Jakimi metodami będzie budować się nowe osiedla?

— Wiemy jedno. Pięciokondygn-

cyjny budynek — typ LSM — nie został zakwalifikowany jako metoda przyszłościowa i chyba będziemy korzystać z metody OWT i częściowo z projektu szczecińskiego, a więc z gotowych elementów dostarczanych przez Łódzką Fabrykę Domów. Przy sztych lokatorów będzie zapewne interesować przede wszystkim powierzchnia mieszkań. Otóż będą one nieco większe, albo może raczej należy powiedzieć, lepiej zagospodarowane. Przy nie zmienionej powierzchni mieszkań powiększona będzie kuchnia, przedpokój i wydzielony w.c.

— Przyszłych użytkowników w różnym stopniu co ilość, interesuje jakość mieszkań?

— Wydaje mi się, że jakość naszych mieszkań poprawia się systematycznie z roku na rok. Bo i wymagania stawiane przy odbiorze budynków są coraz większe. Od dwu już lat obowiązuje zasada tzw. odbioru lokatorskiego. Każdy członek Spółdzielni ma prawo obejrzeć nowe mieszkanie i wszystkie zauważone usterki zgłosić wykonawcy. Zanim blok zostanie odebrany przez spółdzielnię, wykonawca winien wykreślić braki usunąć.

— A jak to wygląda w praktyce?

— Różnie z różnymi wykonawcami. W roku ubiegłym na przykład odebraliśmy 50 proc. mieszkań bez

usterek. „Lokator” współpracuje głównie z Łódzkim Przedsiębiorstwem Budownictwa Uprzemysłowionego i tu w zasadzie większych kłopotów nie mamy. Często jednak dużo zależy od poszczególnych kierowników budowy. Obecnie stanęła już zasada odbioru tylko należycie wykonanych budynków. Jeśli komisja spółdzielcza stwierdzi wady, odbiór nie odbędzie się. Uchwała regulująca to postępowanie ukazała się w roku bieżącym.

Oddzielną zupełnie sprawą jest jakość materiałów, na którą wykonawca nie ma żadnego wpływu. I tu leży właśnie pogrzebany przysłowio- wy pies, czyli największa rozbieżność między interesami klienta, a tym, co wykonawca otrzymuje. Na przykład nie tańca, jak potrzeba ilość i jakość materiałów podłogowych. Oczywiście jest to sprawa niewłaściwej kooperacji, bo budownictwo, które praktycznie odpowiada za całość nowych obiektów, musi tym samym odpowiadać za sporadyczną robotę przedsiębiorstw, podlegających innym resortom.

— Czy są w tej dziedzinie jakiegoś optymistyczne prognozy?

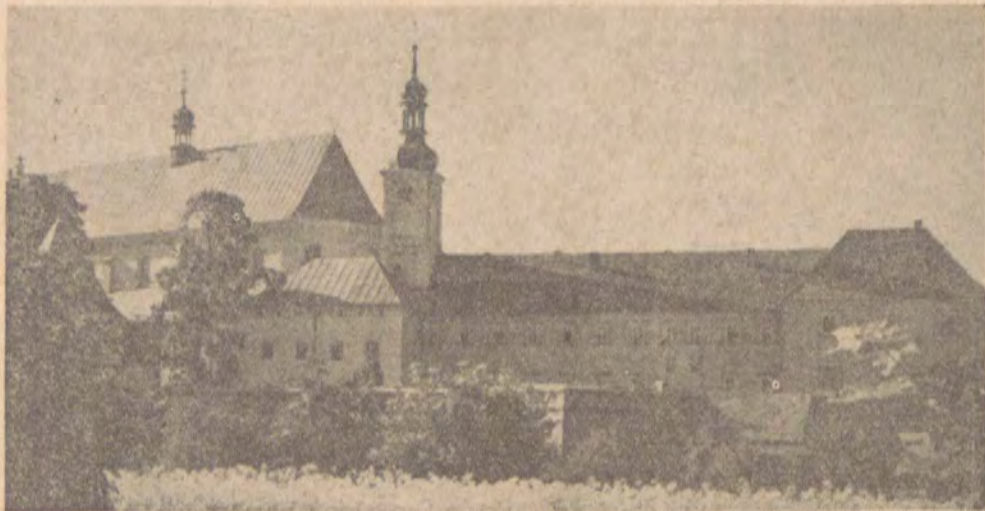
— Tutaj ani wielkiej poprawy nie widzimy, ani nie jesteśmy optymistami na przyszłość. Więcej — odgórne zarządzenia często każą stosować inny niż dotąd materiał, często

gorszy. Protesty spółdzielni nie odnoszą żadnego skutku. I znowu przykłady. Choćby gumowe wykończenie weży w łazienkach, zamiast tradycyjnego, stalowego pancerza. Pomijam już tutaj względy estetyczne, wcale zresztą niebagatelne, ale nowe weże są po prostu niebezpieczne. No, a takie kłamki z tworzyw sztucznych. Trudno się dziwić, że nie podobają się lokatorom. I tak listę podobnych spraw moglibyśmy ciągnąć w nieskończoność.

— Wśród wielu zagadnień, dyskusowanych ostatnio w Centralnym Związku Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego znajduje się również sprawa wyposażania mieszkań zgodnie z życzeniami lokatorów. Wasza Spółdzielnia ten problem zdaje się już rozwiązać?

— My to już robimy od dawna. Taką usługą wykonywaną przez „Lokatora” na rzecz członka Spółdzielni jest meblowanie kuchni i przedpokojów szafami i szafkami segmentowymi. Usługa ta cieszy się dużym powodzeniem, tym bardziej, że stosujemy przy niej dogodne warunki ratalne. W roku ubiegłym wmontowaliśmy w mieszkaniach mebli za ponad 5 milionów złotych. Jesteśmy chyba jedyną spółdzielnią w Łodzi, która prowadzi te prace na tak du-

Dalszy ciąg na str. 4



Zespół Klasztorny Bernardynów (XVII w.)

Fot. L. Lewandowski

Droga załamuje się wielokrotnie zakrętami w biegu przez piękny, gęsty las, mija się z linią kolejową, prowadzącą przez te same uroczyska i prostuje się nagle, wpadając wprost do miasta. I o dziwo — rzadko który z pojazdów jedzie dalej. To bowiem, co nagle ukazuje się oczom turystów, działa jak magnes: ogromny masyw zespołu klasztornego Bernardynów wraz z bazyliką i murami obronnymi. Te go nie można ominąć, to trzeba zobaczyć. Kilka wieków patrzy na nas... Siadamy w wehikul czasu. Włączamy wsteczny bieg...

* * *

„Co za świat, co za świat. Groźny, dziki, zabójczy. Świat ucisku i przemocy. Świat bez władzy, bez rządu, bez ładu i bez miłosierdzia. Krew w nim tańsza od wina, człowiek tańszy od konia. Świat, w którym łatwo zabić, trudno nie być zabitym. Kogo nie zabił Tatarzyn, tego zabił opryszek, kogo nie zabił opryszek, za bił go sasiad. Świat, w którym cnotliwym być trudno, spokojnym niepodobna...”

Leżało to miasto na drodze tatarskich zagonów w głąb Polski. Przelaty się przez nie tatarskie plagi ładami rzezi i pożóg. Wreszcie, w roku 1524 złupili mias to doszczętnie i obrócili w perzynę — król Zygmunt Stary przeniósł je znan Sanu w miejsce bezpieczniejsze — bardziej obronne. Wtedy miasto Leżeńskie zwane miało otrzymać miano Sigismundi Lyezeńsko. Na starym miejscu nad brzegiem Sanu utrzymała się do dziś osada zwana na pamiątkę Starym Miastem, ale nazwa nowego miasta — nie utrzymała się. Został po prostu Leżajskiem. Z nazwami zresztą była cała historia. W dawnej formie występowało Leżeńsko, a wy mowa i pisownia były bardzo dowolne i nazwa brzmiała raz — Lanżajsko, raz Leyzeńsko, to znów Leżańsk i Leżajsko... Jedno jest pewne, że źródłem nazwy było słowo „leże”, które można spotkać w charakterystycznym zwrocie, używanym w opisach dawnych wojen: „...chorągiew zakłada swoje leże...”

Miasto Leżajsk liczy sobie ponad 600 lat. Dwa lata po jubileuszowych obchodach — w 1956 roku, decyzją Rady Mi nistrów awansowano je do rangi miasta powiatowego. Czekano na to ponad 180 lat, od momentu, kiedy austriacy zabór cy przenieśli urząd starościński, funkcjo nujący 300 lat w Leżajsku do Łańcuta, odległego o 25 kilometrów.

Leżajsk i Łańcut trafiły do historii nie tylko z tatarskich powodów. Tu wojny toczyli dwaj szlachcice: warcholsko pocz y

nali sobie, Lukasz Opaliński, starosta leżański i rezydent łańcucki — Stanisław Stadnicki, zwany powszechnie Diabłem. Czteroletnie boje, w których manifesto wano najokrutniejsze formy wzajemnej

ZOFIA TARNOWSKA

Wehikułem czasu przez Leżajsk

nienawiści doprowadziły do zniszczenia całej okolicy i... zwycięstwa starosty z Leżańska, który pokwitował je kosztownym wotum: wspaniałym klasztorem Bernardynów. Te inwestycje (patrz zdjęcie) wznoszone zaledwie 10 lat (1618—28) i dobrze bytoby budowlanym naszym czasów poznać metody tamtej roboty. Nie ru szyło nic mocy warownego klasztoru, na wet siła Karola Gustawa, który tu kwa terował. Partyzantka chiopska zmusiła szwedzkich agresorów do odwrotu, tylko z zamku nie zostało nic prócz murów. A w zakrytych kościoła — podniesionego w 300-lecie wzniesienia do rangi bazyliki (tablica, oznajmiająca decyzję Piusa XI w 1928 roku widnieją nad wschodnim wejściem) — wiszą portrety fundatora wotum — Opalińskiego i jego żony.

Bazylika jest jednym z rzadkich w świecie zabytków o bogatej architekturze, dekoracji zewnętrznej i wewnętrznej, że wymienię tylko freski Strofińskiego, o brazy przypisywane Van Dyckowi i Du rerowi, ogromne, barokowe rzeźbione stal e i organy. Należą one do największych w Europie. Organmistrz krakowski, Jan

Głowiński, ustroił je w 64 rejestry i 3 ty siące piszczałek, rozmieszczając ten masy w w trzech nawach. Prawdziwą ucztą artystyczną jest koncert organowy w ba zylice, a koncertują tu dziś tacy mistrzowie jak prof. Chwedczuk (remontował or gany), rektor PWSM z Krakowa i doc. Jargoń. Turyści, którzy coraz liczniej od wiedzają Leżajsk, nierzadko trafiają na koncerty nie mniej sławne niż oliwskie lub szopenowskie w Zelazowej Woli.

Od bazyliki droga wiedzie szeroką uli cą w dół miasta. Oryginalna aleja jest niejako parkiem miasta: klony, jawor, kasztany, dęby, jesiony, lipy, topole, brzo zy ciągną się dwukilometrowymi rzęda mi w stronę rynku. Przy alei, w domku oznaczonym nr 12 mieszkał przed pier wszą wojną Władysław Sikorski, premier polskiego rządu emigracyjnego. Zajmował się wówczas regulacją Sanu. Rzeka, odle gla o trzy kilometry od miasta, staje się źródłem turystyczno-wypoczynkowych ra dości nie tylko dla mieszkańców Leża j-ska, lecz także Rzeszowa i okolic. Rozle wające się szerokim łukiem wody wolne są od zanieczyszczeń chemicznych, a pięk ny las i naturalna plaża stwarzają wa runki do zorganizowania ośrodka wodne go z przystanią kajakową. Wszelkie in stytucje partycypują w 2,5-milionowym koszcie urządzenia rozległego rezerwatu wypoczynkowego. Stąd niedaleko do in nego rezerwatu — resztek prastarej pu szczy sandomierskiej, gdzie można spot kać zimoziół północny — roślinę z epoki lodowcowej i kępę modrzewi czterdziści metrów wysokich. Słynie Leżajsk z jesz cze jednego rezerwatu: azalii. Ich nasiona trafiły chyba tutaj z paszami dla tatar skich koni...

Kwiatem dzisiejszego Leżańska jest jed nak róża, a miejscem, skąd wywodzi się powszechność i rywalizacja ukwiecania różami całego miasta i powiatu — szkoła podstawowa nr 2. Ileż tu gatunków kró lewskiego kwieciana! Pnące, pienne, krzaczaste. Tysiące kwiatów, barw i zapachów. Kiedy Aleksandra Wilkowa objęła kierownictwo nowej i nowoczesnej szko лы, wizytowanej dziś często przez delega cje zagraniczne, zasadzono tu, w ogrodzie, dąb tysiąclecia. Nazwano go „Ziemowit em”. Rośnie już jedenaście lat. A potem sadzono różę, w czym pomagał mąż kie rowniczki — inżynier rolnik z wykształ ceniam, rodem z wioski pod Leżańskiem. Państwo Wilkowie poznali się na Śląsku, gdzie pani Aleksandra wraz z dwoma sio strami — zdobywały dyplomy nauczyciel skie. Poszły w ślady rodziców — nauczy cieli z Górek pod Rzeszowem, miejscowości wegetującej w zespole sławnej nędzy ga licyjskiej. To już stara przeszłość. Może nie tyle liczona czasem, ile radykalnymi zmianami, zawartymi w ostatnim ćwier ćwiecu. Pani Wilkowa kieruje szkołą, sławną z pionierskiej adaptacji reformy nauczania i wychowania młodzieży. Szko la wizytowana jest często przez delega cje pedagogów z zagranicy. Niestrudzona kierowniczka wykorzystuje swe zdolności dydaktyczno-pedagogiczne także w pełnie niu funkcji radnej i przewodniczącej Zar zządu Miejskiego Ligi Kobiet.

Inżynier Wilk prowadził wytwórnię ty toniu, którego plantacje zakładał przed laty na podmiejskich polach. Kiedy czło wiek rozejrzył się po okolicy i zobaczy Stalową Wolę, Zakłady Chemiczne w Sa rzynie i postucha o czym mówią gospodar ze miasta i powiatu, to jakoś nie może utwierdzić w to, że jedynym repre zentantem przemysłu tego miasta i po wiatu był... tartak.

Stalowa Wola wkracza do Leżańska fi lią swej huty. Za miesiąc gotowa będzie dru ga hala. Systemem gospodarczym buduje się kilka hal fabrycznych przemysłu lekkiego. Nawiazano kontakty ze Zjednoczeniem Przemysłu Dzwierskiego i Pończosznicz ego w... Łodzi. W Leżańsku ma powstać w następnej pięciolatecz fabryczna ekspozycja tego przemysłu, co rozwiąże problem zatrudnienia tysięcy kobiet. Jak widać, po „tytoniowych” kontaktach Le żajsk — Łódzka Wytwórnia Papierosów,

mamy szanse zawiązania nowych koliga cji przemysłowych z Leżańskiem. Nie wia domo, czy w perspektywie nie dojdzie do jeszcze innych powiazań, bo jak mówi przewodniczący Prezydium PRN, St. Bo roń, „leżańska ziemia rodzi truskawki i te walory będzie się wykorzystywać dla przemysłu owocowo-przetwórczego (za mrażalnia za 20 milionów złotych jest w projekcie inwestycji rządowych) wraz z walorami lasów bogatych w jagody i sadów w uprawy porzeczkowe i wiśniowe”.

* * *

Na rynku widnieje herb miasta, a nad nim transparent z wymownym napisem: „Uczestnik konkursu o tytuł „Mistrza Gos podarności”. Zdobyło się nagrody wraz z tytułami. Przez dwa lata w samym Le żajsku wykonano czynny społeczne o wartości ponad 8 milionów złotych, a miasto liczy zaledwie 7 tys. mieszkań ców. Powiat znalazł się na szczycie ambi cji społecznych. 59 tys. mieszkańców wy pracowało trwale wartości obliczone na kwotę 41 milionów złotych dwa lata temu i 62 miliony złotych w ubiegłym roku. Na jednego mieszkańca wypada 1800 złotych. Wybudowano kilka dziesiąt kilometrów nowych dróg i ulic, kilka szkół, jedenaście domów nauczycie la, 7 siedzib dla GRN, ośrodków zdrowia — 8. W notecie St. Boronia lista inwest ycji społecznych zajmuje kilka kartek. A teraz jest sto nowych projektów, w któ re ulokuje się kilka milionów złotych na gród. M. in. gazyfikacja (własne złoża ga zu) i wodociągi i... znowu lista jest bar dzo długa.

Julian Kiczula — sekretarz propagandy KW PZPR w Leżańsku uśmiecha się, kie dy go pytam, jakimi sposobami zmobili zowano społeczeństwo do takich „wyczy nów”.

— Sam myślę od czego zależy powo dzenie w społecznych poczynaniach. Chy ba tylko od ludzi: i tych, którzy zajmują kierownicze funkcje i tych, którzy są „kierowani”. Kiedy układaliśmy wstępne plany — posłaliśmy z nimi do ludzi. Dys kutowało się, zmieniano, oceniano i przy jmowano ostateczną wersję. Prawie zaw sze programy zostawały poszerzane, a społeczeństwo przyjmowało na siebie od powiedzialność za wykonanie. I wykony wało. I popatrzyli teraz na ten dawny, biedny powiat, wymęczony jeszcze po wojnie działalnością band, toczących wal ki z władzą ludową — to jest coś zup elnie nowego. Nasze wsie to już nie daw ne wsie, to małe, nowoczesne miastecz ka. Taka Sarzyna — Zakłady Przemysłu Chemicznego — małe osiedle. Wkrótce bę dzie miastem. 36 milionów złotych prze znaczono na budownictwo mieszkaniowe...”

* * *

Stop! Jedną ze 100 tys. turystów, odwie dzających w ciągu roku Leżajsk jest już zmęczona...

— „Dla turystów będziemy mieli wię cej wygód i atrakcji, kiedy pozalutwiamy gospodarze sprawy. Handel, usługi itp. — jeszcze mocno kuleją. Zabierzemy się i do tego” — mówi St. Boronia.

To dobrze, bo nie mogłam się napić kawy w pięknej kawiarni na szczycie no wego domu towarowego. Odbywało się właśnie przyjęcie weselne w jednym re prezentacyjnym lokalu miasta. Ach, co to był za ślub i co za przyjęcie! Nie py tałam kto i co, bo byłam zła z powodu tej kawy.

Gospodarze miasta i powiatu stanowo czo powinni pomyśleć o szybkiej rozbud owie bazy turystycznej. Leżajsk i jego o kolicie, to przedpole błieszczących uro czysk, to skarbnica historycznych pamią tek, ekspozycja wielkiego dorobku socja listycznego gospodarowania. Tworzy się rzeczy monumentalne o społecznych war tościach. Ani się o tym nie śniło Opaliń skiemu, w zamku którego rezydentem jest dziś Liceum Ogólnokształcące.

Klucz do mieszkania

Dalszy ciąg ze str. 3

za skalę. Wychodzimy bowiem z za łożenia, że kuchnia laboratoryjna, nie obudowana, jest kuchnią niefunkcyj na. Z kolei jakość mebli produkowa nych przez przemysł kluczowy, a zwłaszcza Wolsztyńską Fabrykę Me bli, gwarantuje wysoki poziom ich wykonania.

— A jak realizuje się w „Lokato rze” zasada odbioru kompleksowego? — Tak, jak i w innych spółdziel niach łódzkich, nie bardzo nam się udaje ten odbiór kompleksowy, za kładający, że przyjmujemy nie tylko bloki, ale i uporządkowane drogi w

osiedlu. Bloki są, a dróg i ulic jesz cze nie ma. Najczęściej powtarzają cą się przyczyną tego stanu jest brak mocy przerobowych specjalistycz nych przedsiębiorstw. Ostatnio na przykład po wizji lokalnej na Teofilowie, musieliśmy wystąpić do władz o zgodę na odstępstwo od zasady kompleksowości; ludzie czekają na mieszkania i chcą już mieszkać.

Poprawiliśmy natomiast w ciągu ostatnich trzech lat zazielenianie no wych osiedli. Tutaj wolimy oprzeć się wyłącznie na systemie gospodar czym i we własnym zakresie, po przez nasz zakład remontowy, sadzi my zieleń wokół nowych domów.

— Ale zasada kompleksowości to

nie tylko uporządkowane drogi. To przede wszystkim pawilony handlo we, ośrodki zdrowia, przedszkola, żłobki...

— Tak. I w tej dziedzinie również nie można być optymistą. Pierwszy sygnał mamy już w planie na rok 1971, który to plan daje nam tylko wskaźnik limitu inwestycyjnego, a co się za to da zrobić, pozostawia do dyspozycji terenu. Przeciwno budyn kom przeznaczonym na tzw. usługi działa cały szereg czynników. Przede wszystkim opory wykonawcy, który nie chce budować metodą tradycyjną — a taką się stosuje przy budyn kach usługowych — bo jest to meto da trudniejsza. Na przykład w bie żącym roku, na Teofilowie wykonaw ca miał zacząć budowę lokali usłu gowych, które powinny być oddane do użytku w roku przyszłym. Wy konawca nie przyjął części pawilono w do planu.

— Czy to znaczy, że Spółdzielnia, która przecież jest inwestorem nie ma tutaj żadnego wpływu?

— Te sprawy nieco wyjaśnia dziw ny układ zależności w grupie insty tucji odpowiedzialnych za nowe osiedla mieszkaniowe. Otóż w tej chwili, projektant większości naszych inwestycji — „Mastoprojekt” podle ga Łódzkiemu Zjednoczeniu Budow nictwa, które nadzoruje również przedsiębiorstwa budowlane. A inwe stor, czyli Spółdzielnia, jest ubogim krewnym tej pary. Przynajmniej jeśli idzie o wymagania. Znow dam przykład. Na tymże Teofilowie miała być rozpoczęta w roku ubiegłym bu dowa pomieszczeń remontowych dla potrzeb Spółdzielni. Były plany, były zalecenia, wykonawca odmówił.

A wracając do budynków usłu gowych. Prócz wybrzydzań wykonaw cy, które powodują, że usługi wyla tują z planów w pierwszej kolejno ści, poważne opóźnienia występują już w samym procesie projektowa nia.

— Myśmymy i tak w tym roku znac nie odrobili zaległości, bo Teofilów cieszył się wyjątkowo złą sławą pod

tym względem. Nie zawinoną zresz tą przez Spółdzielnię. Oddajemy kom plet usługowy na Teofilowie A, ale, zastrzegam, gorzej będzie na razie na Teofilowie B i C.

— Na koniec pytanie nieco osobi ste. Które osiedle Pana zdaniem, u dało się „Lokatorowi” najlepiej?

— Możemy się z pewnością poch walić całkowicie zakończonym osie dlem Doly-Wschód. Niewielkie ono, mieszka tam około 1.200 rodzin, ale za to dobrze zagospodarowane i utrzymane. No i ładne. Najlepszy dowód że wszystkie oficjalne dele gacje zwiedzają właśnie Doly-Wschód. Pochwalić się trzeba także działalnością Osiedlowego Spółdziel czego Domu Kultury, z którego usług korzystają nie tylko członkowie „Lo katora”, ale i okoliczni mieszkańcy. Zamiast opisywać wielokierunkowa i interesującą działalność naszego Do mu Kultury, po prostu do niego za praszam.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

Stowa za chawirę

Dalszy ciąg ze str. 1

— Trzydzieści pięć —
oświadcza dama w słomkowym kapeluszu, oferująca czteroosobowej rodzinie swój pokój na placu Rybaka.
— A ile łówek? — pyta ojciec rodziny.
— Dwie kanapy.
— Znaczą się, to będzie nas kosztowało siedemdziesiąt złotych dziennie — rachuje ojciec, patrząc z troską na wzrokami na żonę.
— Skąd. Te kanapy są szerokie. To was będzie kosztowało sto czterdzieści — mówi dama.
— Pani żartuje...
— Nie.
— To my poszukamy czegoś innego.
— Wasza sprawa. — I dama mulka odwraca się do nich plecami. Uśmiecha się zalotnie bezbrzydłymi ustami biorąc w obroty inne, staniające się na nogach, czteroosobowe towarzystwo. Gadu, gadu. Jakiś drobny kompromis. I już holuje naiwniaków w swoje progi. Słyszczą strzępy dialogu:
— Państwo skąd?
— Z Łodzi.
— To będziecie państwo mieszkać u warszawiaki. Bo ja, moi państwo, przed wojną mieszkałam w Warszawie.
— A łazienka jest?
— No, dam wam miednicę, moi państwo, kubek, wody zawsze możecie sobie nagrzać.
— Co z ustępem?
— W porządku.
— Jak, w porządku?
— No, bardzo czysto. Tyle, że trzeba schodzić na podwórze.
— To jednak chce pani trochę za drogo. Warunki sanitarne, proszę pani, mają na urlopie kolosalne znaczenie.
— Co też pan opowiada! Tu nigdzie nie ma łazienek i ustępów. I jakoś się żyje, wypoczywa...
— Za parę dni — dobiega mnie z tyłu głos innego stręczytela — nie trafisz pan na całym Wybrzeżu jednego pokoju.
— Tak jest — wtóruje tubylec w rozchełstanej, obnażającej wytatouowane piersi koszulce. — Za parę dni będzie tu formalne obłożenie. Więc nie czekać, proszę państwa, nie grymasić.
— Chciałabym jakiś elegancki pokój możliwie niedaleko plaży — zgłasza zapotrzebowana nie wypacykowana, obwieszona biżuterią kobieta, uginająca się pod ciężarem pękających skórzanych walizek. Popatruje wyniośle na stręczyteli.
— Mamy coś takiego — wrzeszczy chórem trzech utylanych, planjących od rana facetów. Wyrwyją jej usłudźnię walizki i ruszają w miasto. Podążam ich trzema.
— Pan też w sprawie miesz-

kania? — strzela do mnie ten najwyższy.
— Aha.
— No to rusz się, Józusi! Po móz panu z bagażami.
— Dziękuję, to jest lekkie — mówię, bo nie chcę się przed czasem zobowiązywać.
— Lekkie nie lekkie — sepleni Józusi i przemocą uwalnia mnie od ciężaru. — Pan skąd? — pyta przytyłnie, chwytając się nieco na wyboistym chodniku.

— Z Łodzi.
— To będzie pan mieszkać u warszawiaka.
— Ja jestem z Warszawy — nie wytrzymuje wypacykowana, obwieszona biżuterią kobieta. Patrzy na mnie z pogardliwym grymasem.
— Bardzo nam miło — krzyczą wszyscy trzej. — Warszawiaków, to my tutaj poważamy. No i łodziaków także samo. Rozumni ludzie...

Mijamy place, ulice. Na każdym rogu, w każdej bramie czają się stręczyteli, gotowi przechwycić z rąk konkurencji zniechęconych czymś, nie dopieszczonych warunkami mieszkalnymi letników, którzy przechodzą z ręki do ręki, z domu do domu, z mieszkaniami do mieszkania. Widzę nagle, że wolnych kwater jest bez liku. Na słupach, drzewach, oknach i kioskach bieją byle jak nagryzłone ogłoszenia: „dwa, trzy, czteroosobowe pokoje do wynajęcia”. Nie ma co się denerwować — myślę. — Spanie się znajdzie. I przyglądam się miastu, które nie jest ani tak barwne jak Międzyzdroje, ani tak szykowne jak Sopot. Z trudem może konkurować z Kołobrzegiem. Ponure, ciężkie, zasmrodzone spalinami. O drapanie, popękane mury; niechlujne, rozbabrane jezdnie; z mrocznych bram spływają do rynsztoków strumienie nieczystości; „podmuchy” zimnego wiatru huczą na zaśnieżonych, piaszczystych i ugorzonych płacach i podórkach, wzbijając pod niebo tumany gryzącego pyłu. Tak wygląda owo sławne, bałtyckie Eldorado? Słoneczne Wybrzeże? Raj Szwedów, Finów i Duńczyków? Łapie mnie nagle tęsknota. Za Leba, Niechorzem, Dziwnowem. Kiedy po kilku godzinach znalazłem się nad brzegiem morza, zobaczyłem pasmo wspaniałej plaży i biegnący równoległe z nią okazały bulwar: kilkanaście luksusowych knajp, pensjonatów, baraków, gdzie bez zakłaski można złapać wodę, kał i wiatr, w których rozbrzmiewa głośno rajcowna, młodzieżowa muzyka; parkingi załoczone bluszczami i limuzynami, ludzie w barwnych wymyślnych strojach grzeją się w słońcu, a wieżorem w świetle neonów... Ale ten raj

jest mały, wąski, zwodniczy, zaniknięty szczerze na przestrzeni kilkuset metrów kładką złościstego piasku i kolorowego deptaku. Wystarczy przecieć skrócić w pierwszą lepszą przeczącą i ooraż z miejsca uiega zmianie — szaryzna, stępnizna, nuda. Coś mi się zaaje, że koszmem tego reprezentacyjnego bulwaru, tych kawiarni, knajp, pensjonatów i parkingów — cierpią biedę inne azielnice portowego miasta. Coś mi się zaaje, że ojcowie Swinoujścia są zoyt szczoarzy, jeśli chodzi o ten bulwar — etykietkę, a zoyt skąpi, jeśli chodzi o remonty domów, o zagospodarowanie i uporządkowanie srodmiestia.

No, ale nie moja głowa. Zawróćmy czas o te parę godzin.

Wcnamy się oto: ja, trzech popitych stręczyteli i wypacykowana pani — w gąb pourej wyboistej ulicy. Skręcamy w bramę i po drewnianych schodach, gęstego, wspinamy się na drugie piętro. Mroczny korytarz, szereg uchylonych drzwi, przez które popatrują na nas ciekawie dzieciaki. Wchodzimy do nie wielkiego pokoju — hotelowa łóżnica, stoł, dwa krzesła, że lamy wieszak na ścianie. Kobieta toczy w koło zmęczony mi oczami. Widać, że jest jej wszystko jedno, że zaraz się zgodzi.

— Ile? — pyta.
— A zagowolona pani?
— Zadowolona.
— Bardzo?
— Bardzo.
— No to niech pani zrobi, żeby i my byli usmiechnięci!

Rechoczą. Józusi wyjmują pieroży i częstują wszystkich po kolei. Pani odmawia.

— Ile? — powtarza.
— Osiemdziesiąt.
— Czyli za miesiąc dwa cztery rysta?
— Tak by wypadło.
— To ja chyba poszukam czegoś innego...
— Po co się tak spieszyć — mówi Józusi. — Przecież pani też ma swoje słowo.
— Mogę dać dwa tysiące.
— W porządku — godzą się skwapliwie. — Przecież czło- wiek z człowiekiem zawsze się dogada... Ino że, proszę szanownej pani, u nas płatne jest z góry...
Kobieta wyjmując z torebki plik setek i odlicza miarowo uzgodnioną sumę. Józusi tymczasem wyciąga mnie na korytarz i prowadzi do innego pomieszczenia: wąska kanapka, kubek, taborecik i pluskwa na ścianie. Józusi tę pluskwę z miejsc zobaczył; zmieszal się trochę; podskoczył i rozgniół ją paluchem.

— Z ymi muchami to naprawdę utrapienie — powiada.
— To była mucha? — pytam naiwnie.
— Chyba tak. A może jaka biedronka. Ja tam się specjalnie na robakach nie wyznaję.
— A ja znowu bardzo się ich boję.
— To jak: odpowiada panu pokój.

— No to — mówię do rodziny — wprowadzamy się, rebiata! —
Chcemy wejść, a ona nam drogę zastawia.
— Chwileczkę — powiada — pokój już wypuściliśmy.
— Nogi się podę mną ugęły.

— Nie.
— Za pięć dych panu wypuszczę...
— Nie. — Biorę torbę i staję nowczo ruszając do wyjścia. Wtedy on dopada mnie w dwóch susach i łapie za skraj kapoty.

— Chwileczkę — syczy. — należą mi się jeszcze od pana pieniądze!
— Za co?
— Za niesienie bagażu.

Wróciłem na ulicę. Pod domem czekał już na mnie prze myślni stręczyteli. Kobiety, mężczyźni, nawet dzieci, przyoznaczone za młodu do werbowania czasowiczków. Podążyłem w wielogodzinna, męcząca wędrówkę po zaułkach, suterenach, poddaszach. Nie szukałem komfortu. Wystarczyłoby schludny, suchy pokój z wygodnym łóżkiem i dojściem do łazienki. I jakoś takiego pokoju nie mogłem znaleźć. Znajdowałem natomiast z każdą chwilą materiału do tego reportażu. Wille okazywały się rudarami o zagrzybnionych ścianach. Garaże przybierały kształt wilgotnych no rek. Chawiry usytuowane trzy albo i cztery kilometry od plaży jawiły się wykoślawionymi barakami. Czy to znaczy, że w Swinoujściu w ogóle nie ma porządnego domu? Tego nie mówię. Są. Ale żeby trafić na coś takiego — trzeba dużo pieniędzy, trudu i szczęścia. Najlepiej już zima przyjechać na zwia dy zadatkować i czekać spo-

godzin z Krakowa — opowia dał mi swoje przygody szpa kowaty jegomości pod czter- dziesiątkę — dzieciaki wymęczone, żona chora na serce, w pociągu tłok jak cholera, na promie tłok, na postoju taksówek tłok, no, ale dotarliśmy w końcu na miejsce, za raz sobie odpocznemy — my śię, i cieszę się z góry na to mieszkanko, wiem, że na pewno żonie się spodoba, staję jej mówiłem o rozkładzie pokoju: gdzie łóżko, gdzie ta pczan, stoł, krzesła, szafa, ra- dio, obok łazienka z gorącą wodą, taras, na którym można się opalać... Cztery ty- siące miało to kosztować od piętnastego czerwca do po- lowy lipca. Niby drogo, ale w końcu jest nas pięćoro, więc jeśli przeliczyć na łebka — można wytrzymać... dałem w maju tysiąc złotych zadatku, nie żałowałem, wiem prze- cie, co się tutaj działo w sześćdziesiątym dziewiątym... gospodyni wyglądała uczci- wie — czyściutka, uprzejma, telegram jej przed wyjazdem wysłałem, żeby koniecznie była w domu w godzinie naszego przybycia. Pukam. Otwiera. Uśmiecha się i chce ją pocałować w rękę naszym polskim obyczajem, a ona robi zdziwione oczy: „Pan do kogo?”
— Jak to — mówię — Wrze- siński jestem. Nie poznaje mnie pani?
— „A, Wrzesiński, poznaję”.
— „Dostała pani telegram?”
— „Dostałam”.

Ale pytam:
„Komu?”
„Szwedom”.
„To swinstwo!” — mówię.
„Zadne swinstwo. Mój dom, moja wola. Mam prawo wy- nająć pokój, komu zechcę”.
— „Ale przecież dałem pani zadatek?”
„Jaki zadatek?”
„Tysiąc złotych. W maju”.
„Nie pamiętam”.
„To ja zaraz pójdę na mi- licję i sobie pani przypomni!”
„Niech pan idzie. Nawet do samego Pana Boga. Jak ja bio- rę od kogo zadatek, to wypisuję pokwitowanie. Masz pan pokwitowanie?”
Nie miałem. Uwierzyłem jej wtedy na słowo...
Wiele takich historyjek sły- szałem. Bezcelność właścicie- li nadmorskich pakamer prze- rodziła się w gangsterstwo. A w naszym ustroju nie ma miejsca na gangsterstwo. Trze- ba z tym zrobić porządek — szybko, radykalnie. Postawić kilku cwanaków przed są- dem. Obłożyć podatkami bo- gacących się na ludzkiej krzy- dzie stręczyteli. Trzeba zro- bić coś, aby ludzie, którym nie udało się zdobyć miejsca w domach czasowiczków — a jest takich tysiące, setki tysięcy — mogli wypoczywać po ciężkiej całorocznej harówce w przyzwyczajonych warunkach, aby nie musieli płacić po sto- wie za cuchnącą jednołóżko- wą chawirę i trzydzieści zło- tych za głodowy obiad w pry- watnej jadłodajni. Aby nie musieli tulać się po dwor-



kojnie na słoneczne lato. Tu jednak też się można ciężko naciąć. Spotkałem kilku takich zapobiegliwych gości, co w marcu dobyli targu, a w lipcu zostali przegnani od progów...
— Tłukłem się piętnaście

— No to — mówię do rodzin- ki — wprowadzamy się, rebiata! —
Chcemy wejść, a ona nam drogę zastawia.
— Chwileczkę — powiada — pokój już wypuściliśmy.
— Nogi się podę mną ugęły.

cach i sypląc w koszach pla- żowych — oszukani, sponie- wierani, pozbawieni godności, którą każdy człowiek chce za- chować, i pieniądze, które przecież nie spadają z nieba.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Trudno jest prezentować czytelnikowi książkę, o której już wiadomo, że zni- ka z księgarskich półek, że wstępny bojem zdobyła so- bie odbiorcę. Pisać krytycz- nie — to występować prze- ciwko czytelniczej rzeczywistości, która książkę zaapro- bowała.

W wypadku tomu humo- rek Adama Ochockiego spr- awa jest jeszcze bardziej kłopotliwa. Książka nie tylko jest dobra, nie tylko zaapro- bowana przez czytelnika, ale jeszcze na dodatek, we- soła i zajmująca. Jakże więc dokonywać skomplikowa- nych operacji krytycznych, jakże przeprowadzać seman- tyczno-logiczne rozbiory tekstu, który w założeniu autorskim ma bawić, śmie- szyc?

Humor opowiadaek Ocho- kiego to humor bezpreten- sjonalny, prosty — adreso- wany do szerokich kręgów

czytelników. Dlatego też au- tor operuje często — gęsto potoczną „odzywką”, popu- larnym zwrotem z codzien- nego języka — wpisując je

tor ów blachy szkielet obu- duje taką ilością zabawnych obserwacji i spostrzeżeń po- larnych lekko i dowcipnie, że historyjka nabiera auten-

JERZY WILMAŃSKI

Skąd my się znamy? — z „Karuzeli”

w sytuacje codzienne i w swojej codzienności zabaw- ne.

Jeśli nawet w jakiejś hu- morese konstrukcyjny szkie- let jest raczej wąty, to au-

tecznych rumieńców. Jest to zasługa sprawnego warszta- tu i „dziennikarskiego oka” autora.

Dobrze się stało, że w to- mie „Skąd my się znamy?”

znalazły się także tłumacze- nia humoresek Auerczenki, Zoszczenki, Iłfa i Pietrowa, Michalkowa... Typ humoru prezentowany przez Ocho- kiego jest bowiem bardzo bliski — chciałoby się rzec — pokrewny satyrykom ro- syjskim. Dzięki temu zesta- wieniu czytelnik łatwo do- strzeże rodowód i tradycje tej bezpretensjonalnej saty- ry osadzonej tak mocno za- równo w realiach codzien- nego życia jak i w war- stwie zdrowego, ludowego humoru.

Nie dziwi mnie zatem czy- telnicza akceptacja książki i myślę, że rzecz nie w „te- lewizyjnym” tytule tomu — choć jak wiadomo — O- chocki był współautorem tej satyrycznej audycji. Po- prostu zarówno w telewizji jak i na kartach książki au- tor pozostaje wierny okre- ślonemu typowi humoru. A że jest to humor wyrosły z

gleby codzienności — nie- dziwnego, że tak łatwo tra- fia do odbiorcy.

Satyryczna książka Ada- ma Ochockiego przypomina nieco „Karuzelę”. To oczy- wiście normalne — bowiem autor od lat kilkunastu jest sekretarzem redakcji tego popularnego pisma. Ale mam na myśli co innego. O- tóż „Skąd my się znamy?” zawiera oryginalne humore- ski Ochockiego, zawiera tu- maczenia, zawiera wiersze, a na dodatek rysunki Karo- la Baranieckiego. Słowem — jest to jak gdyby „Karu- zela”, tyle, że mająca po- nad 170 stron i za dumpin- gową cenę 12 zł. (Osiem- stron „Karuzeli” — 2 zło- te). Żeby jednak Czytelni- kowi zapewnić maksimum różnorodności, Ochocki włą- czył do swej książki trzy dowcipne i ciekawe wspom- nienia — felietony, objęte

wspólnym tytułem „Goworit Maskwa”.

Myślę, że tego rodzaju „mozaikowa” konstrukcja książki jeszcze bardziej pod- nosi jej czytelnicze walory. W sumie — dwie godzi- ny zabawnej lektury i zdro- wego śmiechu... Z kogo? Pi- sze o tym Ochocki:

„Chociaż klasycznie mi- zgodnie w dłonie I śmiech wasz donoś- nie dźwięczy, Każdy z Was myśli, to- nie o nim, Za to już mogę zarezczyć!”

Ale tak naprawdę jest to satyra po trosze także na każdego z nas. Śmieję się jednak — a może właśnie dlatego, bowiem mądrość ży- ciora polega również na tym, aby umieć się śmiać z własnych śmieszności.

Adam Ochocki, „Skąd my się znamy?” Wyd. Łódzkie 1970, cena 12 zł.

MACIEJ JÓZEF
KONONOWICZ

Krowa płaci

Jakoś dojrzało nas ponad trzydziestu do klasy maturalnej. Przez kilka dni tworzyliśmy zwartą społeczność, która spędzała ze sobą — chcąc nie chcąc — sześć godzin dziennie. Znalaliśmy się wzajemnie jak lyse konie. Słabości i grzeszki, temperamenty i charaktery, uzdolnienia i talenty współkolegów — rzadziej własne — znaleźliśmy na pamięć.

Po maturze rozjechało się bractwo w cztery strony świata: jedni na studia do miast uniwersyteckich, inni do podchorążówek, jeszcze inni — osiedli na mieliznach chudych praktyk i posadek urzędniczych lub w rejeście bezrobotnych. Biegający czas i geografia pozawieszały na kołku nasze koleżeństwa i przyjaźnie, przecież trwały one tylko w stanie spoczynku. Odkurzały się one i aktywizowały w czasie przygodnych spotkań.

Mineło kilka lat. Wojna skreśliła z listy naszej klasy niemal połowę nazwisk. Na zawsze. „Spój kolego w ciemnym grobie, niech się Polska przysni tobie”. Część kolegów w oflagach, część poza granicami kraju, część w buszu okupowanej Warszawy lub w lasach. W stolicy było smrodliwie i heroicznie. Rabanka i bimber, kawa zbożowa i karbidówki, syreny gestapo i łapanki, orkiestry uliczne i czerwone afisze z rejestrem rozstrzelanych, waluciarze i marmolada z brukwi, kotwice na murach i fałszywe kenkarty, greckie żółwie i żółwie na płotach, Pawiak i Kercelak, gwiazdy Dawida i folksdojce. Bogiem a prawdą każdy przebywający w tym mieście był przestępcą i podejrzanym, bądź w świetle „prawa” hitlerowskiego, bądź w świetle polskiego sumienia. Toteż i wykonywano publicznie i skrycie wyroki na Polakach i wykonywano wyroki Polski Podziemnej na hitlerowskich zbrodniarzach, na szpiclach i zdradach. Dwie, sprzeczne ze sobą prawdy, przemawiały do mających swój rozum Polaków: jedna — z gadzinówek i szekaczek ulicznych, druga — z prasy podziemnej i radiostacji z Londynu czy Moskwy.

Ludzie zmieniali się. Zmieniali zawód i miejsce zamieszkania, zmieniali znaki szczególne — brody i wasy, kolor włosów i okulary, zmieniali i pleć, kiedy, w szczególnych okolicznościach, bezpiecznie było wędrować w przebraniu kobiecym. Pod ciśnieniem ciągłego zagrożenia i niepewności wykuł się w ludziach i wystrzył nowy zmysł, pozwalający z oczu i twarzy bliźniego odczytywać jego prawdziwą wizytówkę. Wykształcił się też żargon wieloznaczny, pełen znaków, skrótów, symboli i pseudonimów. Każdy musiał być przytomniaki i komik szachowy, umiejący uskakiwać na boki.

W taki to czas, w poobiednie le-lum-polelum, siedzieliśmy klanem rodzinnym pogadując o wszystkich naszych dziennych sprawach, gdy nagle ktoś energicznie zapukał i — nie czekając na zaproszenie — wszedł. W drzwiach stał Arno Maks w tyrolskim kapelusiku na głowie. Pod bulwą zadartego nosa krzyczała mu biała klawiatura zębów w szerokim, szczerym uśmiechu. Powitaliśmy go z radością o opóźnionym zapłonie. Reakcja mieszanych uczuć działa w wolnionym tempie.

Arno Maks, kolega z jednej ławy szkolnej, równie świetny germanista, jak i polonista, kpiarz i kawalarz, tegi ochlapus, był potomkiem niemieckich kolonistów, osiadłych w

małym miasteczku pod Łodzią. Mówił się o tym notorycznym szczęściarzu, że jest urodzony w czepek i nausznikach. Te nauszniki, to nie aluzja do jego wielkich, odstających uszu, ale raczej do fenomenalnego słuchu. Wyczułoną membraną trąbki Eustachiusza odbierał bezbłędnie i tłumaczył na strunach głosowych wszelkie niuanse gwar wsioowych i przedmiejskich, fonetyczne subtelności języków obcych, muzykę i śpiew. Miał wspaniały, piękny głos, którym czarował miasteczko, kiedy śpiewał solo na chórze kościelnym. Głos jego był ozdobą wszelakich uroczystości i akademii.

Nie widzieliśmy Arna Maksa od czasów matury. Po wybuchu wojny został w przyłączonym do Reichu „Litzmanstadt”. Dochodziły nas sprzeczne o nim relacje. Dość prawdopodobnie brzmiała ostrzegająca przed nim wersja, że podpisał folkslistę. Opinię tę popierały fakty, że nie wyemigrował do Generalnej Guberni śladem wielu młodych ludzi, że nigdzie nie pracując, prowadził dostatni tryb życia, że ponoć widywano go w lokalach, przeznaczonych wyłącznie dla Niemców.

— Hejle medina! — krzyknął blażeńsko i uniósł prawą nogę na wysokość biodra. — Co tak na mnie patrzycie, jak kura w gnat. Złego diabła nie wzięli. Pani Salomeo — można wnieść z korytarza walizkę?

Nie czekając na odpowiedź wślizgnął olbrzymią walizkę i postawił w środku pokoju. Teraz przywitał się

rzekł tubalnym głosem:

— Also, Kameraden, vielleicht fauschen wir? Lasst mich, zur Gutte, halten eure Pistolen und Helme ihr aber werdet mir helfen meinem Koffer zum Taxi zu tragen. Dieser Mensch ist dazu zu schwach — rzekł wskazując na mnie.

Wzięli go widocznie za rajchsdojca. Jeden z nich, wyraźnie rozbrajony, spytał:

— Und was befindet sich in diesen Koffer?

— Eine Kub! — rzucił Arno i buchnął rechotem, a za nim ryknęli obaj żandarmi.

— Kilka kroków stąd stoi taxi i riksha. Heil Hitler! — i śmiejąc się ruszyli przed siebie. Arno przyłożył dłoń do kapelusza i rzucił:

— Wacus!, wolnym krokiem prujemy za róg Miodowej.

Wstąpiliśmy do najbliższej knajpy. Zamówił ówiartkę i jakieś sledziowe zakąski. Błyskał w uśmiechu białymi zębami i klepał mnie po ramieniu.

— Te dwa ówoki w żelaznych garnkach na łbie poczuły respekt przed prawdziwym panem w tyrolskim kapileusie. Żeby choleroom odbijało się pineskami do końca wojny! No, cyk — Wacus!

Jakoś nie mogło mi przejść przez gardło pytanie, kim on jest ostatecznie, tym bardziej, że jego bezbrzoka i tupet w spotkaniu z żandarmami utwierdzała mnie w przeświadczeniu, że jednak podpisał folkslistę. Kiedyśmy oblatwili się z butelką, Arno

Znów zginał z walizką za bufetem. Świat się kołysał coraz bardziej. Wyszliśmy. Było mi lekko i wesoło i czułem się w tym warszawskim buszu niepokojąco bezpieczny. Świat mi się kołysał coraz bardziej. Czwar-ta knajpa nawlekła nas na siebie. Siedzimy, popijamy i śmiejemy się do siebie bez powodu. Jest nam dobrze ze sobą. Czujemy się jak dwaj serdeczni kumple w beztróskich łatach szkolnych. Wspominamy bełfrów, sympatie z żeńskiego gimnazjum... jakoś nie chciałem psuć tego rzeźwego nastroju ostrym i niebezpiecznym jak brzytwa pytaniem...

— Jeszcze krowa płaci — powiedział — a potem ładujemy gdzieś na dobrej kawie.

Gdy się wylonił zza bufetu, niósł pustą już walizkę i kilka zmiętych banknotów w garści.

— Wiesz co, Wacus, ten cholerny sakwożaż spuścimy tu po nogawce. Tektura w środku czerwona od juchy i klei się od tłuszczu. Nie warto tego pudła brać ze sobą.

Idziemy Nowym Światem, podtrzymując się pod ręce. Mineliśmy już Świętokrzyską, Warecką, Chmielną i Jerozolimskie. Gdzieś przy placu Trzech Krzyży zaleciał nas zapach dobrej kawy. Za wielką szybą wystawową fotyos estradowych śpiewaczek i tancerek z pawimi piórami a wyżej napis: Nur fuer Deutsche. Arno pehnął drzwi wejściowe i wciągnął mnie do wnętrza lokalu. Przy stolikach wyłącznie oficerowie niemieccy i miejsc wolnych sporo. W hebanowym wnętrzu lśni srebrnym blaskiem bufetu. Na estradzie orkiestra gra walce wiedeńskie.

— Arno, dawajmy nogę, to lokal tylko dla Niemców.

— Ja jestem u siebie, Rozumiesz?

Kiwnął na blond-wenus i najczystsza niemczyzna żądał kawy i koniaku. Byłem przeświadczony, że dał mi oto odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Brzmiało mi w uszach „jestem u siebie” i zrobiło mi się bezbrzeżnie smutno. Milczałem, wpatrzony w czarną powierzchnię filiżanki. Szukałem w myślach zdania, którym chciałem go pożegnać. Nagle poderwał mnie z zamyślenia czysty, wspinały tenor. To Arno podchwycił refren granej melodii i śpiewał pełnym głosem. Wszystkie głowy nad stolikami skierowały się w naszą stronę. Niosąca tacę blond-wenus stanęła w zaskutaniu. Dyrygent obrócił się w stronę Arna i z przymilnym, pełnym podziwu uśmiechem falował w powietrzu czarną pałeczką. Kiedy orkiestra umilkła, oderwał się od jednego ze stolików młody przystojny oficer i przysiadł się do nas.

— Gratuluje. Ma pan piękny głos. Znam się trochę na tym. Jestem solistą opery. Śpiewałem już w LA SCALA — to chyba coś mówi. A pan gdzie śpiewał?

— U babci na imieninach.

— No, nie przesadzajmy w skromności. Pan pewnie wiedeńczyk?

— Z Rypultowie.

— Nie rozumiem. Skąd?

— Mniejsza z tym.

— Zna pan może melodię z „Fledermaus”?

— Jasne!

— Może byśmy tak spróbowali razem... wie pan, ja jestem po kilku koniakach, ale mi jeszcze struny głosowe nie zarzewiały.

Nim Arno zdążył się ustosunkować do propozycji, oficer był już przy dyrygencie i coś mu klarował. Dyrygent zaśłuchano kłaniał mu się w pas i skwapliwie potakiwał głową. Po chwili zastukał pałeczką w pulpiti i popłynęła melodia. Miałem wrażenie, że siedzę na sali koncertowej. Przy stolikach ucichł gwar. Pod hypnozą śpiewu wszystkie zastygły w bezruchu, potem zerwała się burza oklasków. Arno brzydotę swą gasił błyskiem białych, pięknych zębów.

— Pan jednak musi być z Wiednia — powiedział oficer, kładąc przyjacielsko swą dłoń na kolanie Arna. — Jestem z Rypultowie. Pewnie pan, panie oberleutnant, nie potrafi wymówić tej nazwy w swoim języku. — Więc jak to? Nie jest pan Niemcem?

— Nie. Jestem Polakiem.

— Ależ to niemożliwe! Tak czysty akcent niemiecki... to niemożliwe... panowie pozwolą, nazywam się Raul Wiesner z Wiednia — rzekł, wyciągając dłoń — a jak godność...

— Zaczynam się czuć jak na śledztwie — rzekł Arno.

— Proszę być spokojnym. Pytam najbardziej przyjaźnie i prywatnie. — Jestem Arno Maks, baptysta, Polak. A z tym językiem, to wie pan, panie oberleutnant, to u nas w domu rodzice mówili ze sobą po niemiecku.

— Bardzo przepraszam za pytanie,

ale z takim nazwiskiem, z takim pięknym językiem niemieckim — jak się to stało, że nie jest pan Niemcem?

Arno Maks sięgnął po porfel i długo szperał w jego pękającym wnętrzu, nim wreszcie wyciągnął jakiś wycinek gazety. „Neue Lodzer Zeitung”. Było tam zakreślone czerwonym ółwkiem obwieszczenie o wykonaniu wyroku na kilkudziesięciu „bandytach polskich”.

— Niech pan przeczyta nazwiska tych „bandytów”. Wśród nich są moi przyjaciele, koledzy a nawet i krewniacy. Jestem takim samym bandy-tą jak i oni. Niezycię od nich nie różniłem. Możemy odejść czy zechce pan nas może zatrzymać, Herr Oberleutnant?

Niemiec jednym haustem wychylił stojący przed nim kieliszek koniaku, spuścił głowę i powiedział:

— Niech panowie będą spokojni...

Ale spokoju nie będzie, bo w tym momencie oderwali się od stolika dwaj jego przyjaciele i podeszli do nas.

— Brawo, Raul, brawo śpiewacy! Takie głosy musimy przepuścić przez bufet!

W oczach Raula pojawiło się zaniepokojenie. Powiedział:

— Wracajmy, koledzy, do naszego stolika. Niech panowie spokojnie piją swoją kawę. Nie możemy się przeciw tak narzucać...

Ale podpicie Niemcy nie dali za wygraną. Ujęli nas pod ręce i doprowadzili do srebrnego bufetu.

— Pięć głębszych! — krzyknął niższy.

I kiedy już w rękach mieliśmy szklanceczki — dorzucił:

— Pierwszy toast na cześć Fuehrera. Heil Hitler!

Przez chwilę wisiła w powietrzu pięć wypelnionych szklanek i nagle jedna wyśladowała na blacie bufetu. Postawiłem i ja swoją szklanceczkę. Niemcy spojrzeli zdumieni po sobie, a potem skierowali wzrok na nas. W oczach niskiego oficera pojawiły się jakieś niedobre ogniki. Zaczął wpatrywać się uważnie w twarz Arna i powiedział:

— Co to ma znaczyć? Natychmiast wypijcie ten toast!

Arno spokojnie oparł się łokciem o bufet, odpiął guzik u marynarki i powiedział wolno:

— Mieliszmy, panowie, wypić zdrowie śpiewaków. Poczekam na ten toast. Innego nie piję.

Na fwarz niskiego Niemca zaczęła napływać czerwona fala krwi. Powiedział wolno przez zęby:

— Po raz ostatni wzywam was do wypicia toastu na cześć Fuehrera.

Arno nie zmienił swobodnej, nonszalanckiej poziey.

— Pan trochę za dużo wypił, panie oberleutnant. Ten toast może panu zaszkodzić. Musimy się z pićciem stroszczać.

Niski Niemiec pobladł nagle, zatoczył się lekko, wyrwał z kabury pistolet, odbezpieczył — i gdy skierował raptownie lufę w naszą stronę, uchwycił go za przegub dłoni obaj towarzysze i zaczęła się ostra szamotanina. Zjawił się jak Mefisto — wyfrakowany kelner. Szeroki filar zasłaniał całą tę scenę przed siedzącymi na sali. Zasapany Raul, trzymając w ręku wyrwany pistolet, rzucił krótko do swego kolegi i do kelnera:

— Wyprowadźcie pana oberleutnanta do pokoiku, żeby odpoczął. Wy-pił zbyt dużo, jeszcze nas tu postrzela.

Ujął w drżącą dłoń szklanceczkę z wodką i zwrócił się do nas:

— No co, panowie, jaki toast pijemy?

— Jeden toast możemy wypić wspólnie bez żadnych zastrzeżeń: abysmy wszyscy, jak tu jesteśmy, wrócili zdrowi do naszych domów. Wypiliśmy.

— Wyprowadźcie panów wyjsieciem na podwórze. Jeszcze się kiedyś zobaczymy po tej diabelskiej wojnie. Radziłbym szybkiej, panowie, bo robi się tu trochę niewyraźnie.

— Nam się nie śpieszy, my tu jesteśmy u siebie — rzekł Arno i błysnął białymi zębami. — Do zobaczenia, Raul!

Koszula kleiła mi się do ciała. Kiedy uderzyła w nas fala świeżego powietrza, powiedziałem:

— Wiesz co, Arno, chciałem się ciebie zapytać, czy...

— Wiem. Chciałes się zapytać, czy się usuniliem. Wiesz, Wacus, ludziom o takich nazwiskach jak moje, rodzi się prawdziwa ojczyzna w momentach eksplozji. Ty jesteś szczęśliwiec, bo dla ciebie jest naturalne, jak powietrze, że jest tylko jedna ojczyzna. Ja nie musiałem długo wybierać. Jestem pod tym samym dachem, co i ty. U siebie. Chodź, Krowa płaci!



Rys. E. Inglot

z kobietami, ze mną wycalaował się z dubeltówką. Poczułem, że gdzieś już zadzwonił zębami o kieliszek.

— Przywiozłem w walizce krowę. Zapewniam, że płynię w niej germańska krew. Proszo z Reichu, z Rypultowie. Podobno u was w GG łatwiej o ludzkie mięso, niż o polędwicę. Dla pani trzy kilo w upominku. Może pani łaskawie skrzyknie sąsiadki, bo chciałbym możliwie szybko ko nieboszczkę rozparcelować i opylić.

Przyszły tylko dwie sąsiadki i wzięły po kawalku mięsa.

— Niewiele tej padliny ubyło. Wacek — zwrócił się do mnie — chodź, bierzemy sakwożaż ze ścierwem i splawimy to w jakiej knajpie.

Wyszliśmy, dźwigając ciężar we dwóch. Szliśmy Krakowskim w kierunku Nowego Świata. Przed nami zamajaczył patrol żandarmów. Arno kazał mi stać przy walizce, a sam, poprawiwszy tyrolkę z piórkiem, wyśladował z kieszeni papierosa i zaczął szukać po kieszeniach zapalnika. Żandarmi sterowali prosto w naszym kierunku. Nim zdążyli dojść, Arno lekko skinął na nich i śmiejąc się

wziął wielką walizkę i przecisnął się przez bufet na zaplecze lokalu. Po dziesięciu minutach wrócił do stolika.

— Chodź, Wacek, idziemy do następnej budy. Tu krowa za nas zapłaciła. Waliza trochę lżejsza.

Wyszliśmy. Wkrótce nadarzyła się na trasie druga knajpa. Ciemno od dymu, zaplajone gęby rodaków, kiejące się stoliki. Siadamy przy jednym z nich.

— Zakąska i ówiarteczka — rzucił kelnerowi.

Już mi się trochę świat kołysał i napływała odwaga, żeby mu jednak postawić do pytania. Ale i tym razem jakoś nie wyszło. Kiedy sięgalem po porfel, by zapłacić rachunek. Arno błysnął zębami i powiedział:

— Krowa płaci! — i poszedł z walizką na zaplecze knajpy.

Waliza była teraz o połowę lżejsza i nieśliśmy ją na zmianę. W następnej restauracji następną ówiarteczka i zjełczała sałatka. Rozpędziłem się już, żeby wykrztusić nekające mnie pytanie, ale Arno przerwał mi po pierwszym słowie i ryknął:

— Krowa płaci!

Między literaturą a faktem

Modę na tzw. literaturę faktu przyniósł odczuwany przed laty głód czytelnika na książki, w których mogłyby on znaleźć trwalsze związki z rzeczywistością. W gatunku tym mieści się także reportaż literacki. Andrzej Makowiecki we wstępie do „Przepisu na wymianę twarzy”, napisał, iż książka jest dokumentem. Czy nie uległ on jednak zniużeniu?

Książka bowiem zawiera teksty, które równie dobrze moglibyśmy zaklasyfikować, jako reportaże, jak i opo-

wiadania i nie spotkalibyśmy się z głosami protestu. Nie dotyczy to wszystkich tekstów oczywiście, bo w zbiorze znalazły się też ty powe reportaże.

Na książkę tę złożyły się utwory znane czytelnikom „Odgłosów”. Autor wybrał może zbyt skąpo — teksty, które mogą ostać się działaniem czasu i zachowają dla czytelnika wartość choć w opisywanej rzeczywistości zaszły nieodwracalne zmiany. Chwytał on bowiem w staty naskendi zjawiska, które przeszły do historii, bądź zostały w wartkim nurcie przemian — zapomniane. Po latach różnorodnych przemian rzeczywistości nie byłibymy niekiedy w stanie odkryć ich istoty. Tymczasem znalazły one odbicie w książce Makowieckiego.

Sięgniemy więc do tekstów. Ołó w reportażu zytułowanym „Wiadukt, nowa era”, autor opisał budowę wiaduktu chojeńskiego. Rzecz niby zwykła, jako że w Polsce co roku obiektów takich buduje się wiele. Ma kowiecki dał nam wizję przemian nie tylko krajobrazu, lecz także przemian dokonujących się w zamie-

szkujących dzielnicę ludziach. Opisał uwarunkowania tych wydarzeń i wysiłek budowniczych. A wszystko to zostało dokonane nie zwykłe oszczędnie, kilkoma pociągnięciami piórka, jakby to można określić u grafika. Można to odnieść tak że do innego tekstu — „Balady o Baluckim Rynku”. Tu z kolei ciąg wydarzeń o wymiarze historycznym został pokazany poprzez los jednego człowieka — Józka zwanego „Pulkownikiem” i dzieje jego rodziny. Atrakcyjność tego tekstu polega również na tym, że jednocześnie pokazano w nim „życie” Rynku. W tym samym cyklu można by pomieścić także reportaż o Bronisławie Wiczorkowskim — ludowym poecie chojeńskim.

Zaletą tych reportaży o Łodzi jest to, że ich autor posługując się bardzo oszczędnym obrazem losu ludzkiego i krajobrazu miasta, (potrafił pokazać niejako „historię od podszewki”, zmagania pokoleń o to, by nasze miasto stało się siedliskiem godnym żyjących w nim ludzi, a nie pominął także przemian, jakie doko-

nały się w samych ludziach. Prezentowany zbiór nie jest bynajmniej monotematyczny. Łódzkie fascynacje autora, to tylko cząstka jego twórczości, wychodził on bowiem także w odległe rejony kraju, na zachodnie rubieże Rzeczypospolitej, by pokazać ludzi budujących nową rzeczywistość, problemy wielkiej budowy, tworzenie się nowej społeczności przy kopalni węgla brunatnego w Turosszowie, najaktywniejszych w niej ludzi. To znów spotykamy w książce skromnego nauczyciela z Lgoty Małej w powiecie radomszczańskim, który może być wzorem aktywności społecznej. Tak więc autor w swych poszukiwaniach stara się dotrzeć do bohaterów niezwykłych, tych, których działanie tworzy niejako naszą codzienną rzeczywistość.

Wiele miejsca poświęcono w tej książce także młode mu bohaterowi, głównie z kręgów muzycznych, ściera się postaw ludzi popularnych ze względu na wykonywane przez nich zawody, po przez zafascynowanie ich działalnością.

Wachlarz zainteresowa-

ni autorów Makowieckiego jest duży, lecz książka nie stanowi przysłowiowego „worka wszystkoistycznego”. Zbiór jest zwarty kompozycyjnie, cel jest wyraźny — pokazanie czytelnikowi naszej codzienności, zjawisk zwyczajnych jak i niezwykłych poprzez niezwykłe losy bohaterów tych wydarzeń, jakie dokonywały się u nas w latach sześćdziesiątych, bo w tym mniej więcej czasie powstały omawiane teksty. Makowiecki na przemian sięga do zjawisk ważkich, daje wizję globalną, to znów pokazuje marginesy naszego życia, wychwytuje egzotykę niektórych środowisk młodzieżowych, czy zjawiska z kręgu tematyki obyczajowej.

Andrzej Makowiecki eksperymentuje, ożywia język swych tekstów, stosuje swój styl nadrealizm językowy, dzięki czemu wizja zjawisk nabiera u niego niekiedy wymiaru poetyckiego. Nie ustrzegł się on jednak pewnego niebezpieczeństwa. Za pominięciem funkcjonalizmu językowym. I tak stosując mieszaną żargonu młodzieżowego i języka lite-

rackiego uzyskał dobre efekty w prezentowaniu problematyki marginalnej. Gorzej jednak wypadły próby zastosowania tego chwytu stylistycznego przy opisie zjawisk i ludzi innego wymiaru.

Inny zarzut, jaki należałoby postawić autorowi, to popadanie w sentymentalizm. Autor działa tu świądomie, daje nam do zrozumienia, że kierował się poczuciem rzetelnego przedstawienia rzeczywistości. Lecz nie wolno mu zapominać, że nie życie, lecz on sam dokonuje wyboru obrazów tej rzeczywistości, akceptacja zależy tylko od jego woli. Dotyczy to niewielewzruszających tekstów tak afirmatywnych, jak i atakujących zjawiska, przeciw którym autor buntuje się wyraźnie.

W sumie należy stwierdzić, że otrzymaliśmy książkę dojrzałą, ambitną, dającą niepoślednie świadectwo możliwości naszego autora. Okazał się on nie tylko reportażystą, lecz także rasywym prozaikiem.

Andrzej Makowiecki: „Przepis na wymianę twarzy”. Wyd. Łódzkie 1970 r.

ROMAN LOBODA

Droga E. Iwanickiego do „Ujścia”

Podczas czytania opowiadań Eugeniusza Iwanickiego „Powódz w dolinie psów” nasunęło mi się szereg refleksji natury ogólnej. Można w tej niewielkiej objętościowo książce prześledzić zagadnienie nie poszerzania się świadomości piarskiej i w związku z tym szukania nowych środków wyrazu. Zbiorek opowiadań, jeżeli mamy do czynienia z debiutem lub niewielkim dorobkiem pisarskim, jest poza swoimi walorami treściowymi i po znaczeniowym zawyżają bardzo wdzięcznym obiektem do prześledzenia poszukiwań warsztatowych prozaika, niekiedy próbką jego umiętności. Bywa, że późniejsza świadomość pisarska każe prozaikowi zaprezentować w zbiorze opowiadań skalę swych doświadczeń formalnych lub, co ciekawsze, ukazać in statu nascendi problem współzależności treści z formą.

Iwanicki zaczyna od najprostszych opisów zdarzeń (obojętne prawdziwych czy „zmyślonych”), ukazując raczej ich przebieg w działaniu a nie mechanizmy. Robi to jednak czysto, klarownie i z wycuciem dra-

matycznym, którym musi się podparć ten rodzaj prozy. Krótkie opowiadania — najczęściej nie przekraczające pięciu stron — zacierają treści niebanalne; jego „penetracja postaw moralnych” dotyczy głównie zewnętrznych ludzkich zachowań. Opowiadania pisane w pierwszej osobie pozwalają autorowi z jednej strony w najprostszym sposobie zasugerować czytelnikowi autopsyjność, z drugiej zaś otrzymać domniemy ton narracji — pierwszą figurę kunsztu pisarskiego. Figurę tę, trzeba przyznać, Iwanicki opanował dobrze. Uważa również, by nie popaść w jakieś mielizny i nie „popaść”, w związku z czym posługuje się prostą i niezawodną konstrukcją: wprowadzenie — przebieg — punkt. Przebieg tego układu świadczy o solidności autora, wyróżnia go w ten sposób z całej plejady debiutantów, którzy bez odpowiedniego opanowania warsztatu, konstruują utwory niespolite i kalekie, bo nie związane logiką kompozycji. Takie próby „opuszczenia wysokości”, mówiąc językiem skoczki, o tyle cieszyły się zainteresowaniem kryty-

ki — o ile ich autentyczna siła stała nową reprezentatywną wyrazem idei, dążeń, tendencji społecznych i moralnego oblicza pokolenia „wstępującego”. Od wartości jako materiału poznawczego oraz kolorytu i egzotyki najczęstiej zależało powodzenie takich utworów, rzadziej od ich obiektywnych wartości treściowych, kompozycyjnych, sprawności językowej, oryginalności ujęć, prawdy stwierdzeń i idei — co przecież jest nie od dziś artystyczną wartością dzieła literackiego.

Na tej fall Iwanicki nie może, i nie chce popłynąć. Utwory jego nie epatują pokoleniowymi ewenementami, nie mają nie wspólnego z ekshibicjonizmem zagubionego dziecięcia, które podstawiła główkę do głośkania. Nie o szczerość, ani nawet ekshibicjonizm chodzi mi w tym względzie, lecz o dziecięcność chytą, kokietowanie kolorytem duszy, bez dbałości o koloryt myśli i słowa, na co „niektóre” stare konie z nie wyższym ojęstwem, namiełni zbieracze błyszczącej młodości, dają się zbyt często nabierać. Niedbałość w ocenie debiutów już niejednokrotnie unieszczęśliwiła, bowiem kolorowa biografia i smykałka do pisania to jeszcze nie pisarstwo. Sądzę, że literatura prócz talentu wymaga nie mniej pracy nad kształceniem warsztatu niż muzyka, malarstwo, rzeźbiarstwo, a nawet stolarstwo. Nie muszę tłumaczyć, że warsztat to nie tylko umiętność artystycznego zapisu myśli. To ustawiczne kształcenie, nie wrażliwość, zmysłu obserwacji, umiętność wyciągania wniosków, to poszerzanie wiedzy, smaku i doś-

wiadczenia życiowego, co sprawia, że myśli są warte zapisu.

Tyle o sprawach znanych, ale zbyt często zapomnianych.

Wracając do drugiej prozy Iwanickiego — „Powódz w dolinie psów” (pierwsza, to powieść pt. „Zmowa obojczyń”), należy stwierdzić, że autor nie cierpi na brak wyżej wymienionych cech poprzedzających i towarzyszących procesowi tworzenia. Szczególnie uderza u niego świądomie wyeksplloatowane doświadczenie życiowe. Właśnie to doświadczenie dyktuje mu ostrożność w stosowaniu środków formalnych. Iwanicki dobrze czuje się w zagadnieniach współczesności, obraca się swobodnie w różnych środowiskach i w związku z tym, nie cierpiąc na brak konkretności, rzadko zaczyna budowę utworu od fikcyjnych założeń treściowych. Nie wizja, problem filozoficzny, moralny czy społeczny, lecz proces odpominania jest promotorem większości jego utworów.

Opowiadania: „Zdarzenie w bazie”, „Wizyta”, „Czas nie odzyskany”, czy „Powrót” są zmiennymi przykładami tego typu procesu. Można by wobec tego powiedzieć, że fikcja nie odgrywa w tej prozie żadnej roli. Tak nie jest, Iwanicki pojmuje, że każde wydarzenie zalamuje się w naszej wyobraźni, przekształca pamięć o nim, a od kąta tego zalamania, tej „niewiniwej” fikcji, zależy kształt artystyczny utworu. „Odpomina” więc wydarzenie raz pamiętając „ką zalamania” a raz przydając go utworowi. W drugim przypadku powstają utwory takie jak: „Noc z Magdaleną”, „Ryby”, Po-

droż od wschodu do wschodu”, a nawet „Katastrofy nie będzie”.

Aforystyczna jednopłaszczyznowość utworów niepokoi autora. Czuję, że pierwszą figurę opanował do statecznie, że pełnej wiedzy o życiu nie zawsze da się wypowiedzieć w jednym wymiarze. Świądomie jest złożony. Zjawisko jest byłą, przybliżenie sobie i czytelnikowi mechanizmów życia wymaga wzbogacenia środków wyrazu, zinstrumentowania partytury utworu. W zbiorze opowiadań pt. „Powódz w dolinie psów” dalszym krokiem, krokiem w tym kierunku jest próba komponowania utworu przez parabolę („Za prośieniem do księcia”). Parabola stała w końcu „odparabolizowana”, w tym jednak opowiadaniu czuję związek innego, ostatniego w zbiorze utworu pt. „Ujście”. W „Ujściu” widzę nie tyle świadomy i konsekwentny wybór nowych środków wyrazu, co rozerwanie rygorów ograniczających wyobraźnię a może (i to jest bardziej prawdopodobne) żywiołową „erupcję” potrzeb kompensacyjnych. Przystawienie o akcentach filozoficzno-symbolicznych, napisana niby językiem prozy, ale w duchu poezji, to najmniej oczekiwany epilog „Powódz w dolinie psów”. Najmniej oczekiwany, ale chyba naturalny, a zatem zdrowy. Co będzie dalej, zobaczymy.

W sumie interesujący i rokujący nadzieje zbiór opowiadań.

Eugeniusz Iwanicki: „Powódz w dolinie psów”. Wyd. Łódzkie 1970 r.

Przeszłość i teraźniejszość

Według pierwotnych planów dzień 25 sierpnia 1939 roku miał być ostatnim dniem pokoju. Podczas narady z szefami sił zbrojnych, dnia 22 sierpnia Hitler oznajmił, że „wojśkowym celem jest zniszczenie Polski bez reszty” i wydał rozkaz rozpoczęcia działań wojennych w sobotę 26 sierpnia o świcie. Przygotowania zostały już właściwie zakończone. W przeddzień oznaczonego terminu rozpoczęcia wojny, 25 sierpnia wypłynął do portu gdańskiego pancernik „Schleswig-Holstein”. W nieoficjalnej rozmowie z prof. Carlem J. Burckhardtem — ówczesnym Wysokim Komisarzem Ligi Narodów w Gdańsku jego dowódca miał powiedzieć, iż ma „straszliwe zadanie do wypełnienia”. Jednakże zarówno on, jak inni niemieccy dowódcy mieli je wypełnić dopiero za kilka dni.

Decyzja Hitlera uległa dnia 25 sierpnia zmianie. Złożyły się na to z jednej strony wiadomości o stanowisku, jakie wobec niemieckich planów wojennych założył faszystowski Włochy, z drugiej zaś podany wła-

nie przez radio londyńskie komunikat o podpisaniu wojskowego układu polsko-brytyjskiego. Mussolini wykreślił się od czynnego poparcia niemieckich planów i przedłożył Hitlerowi nader obfita listę tego wszystkiego, czego to miały ponoć niezbędnie potrzebować wojskie siły zbrojne, aby na 12 miesięcy przystąpić do wojny. Włosi postarali się na der gorliwie o to, aby lista

Hitler miał nieplonną nadzieję, że zmiany, jakie nastąpiły właśnie w stosunkach Rzeszy ze Wschodem, wpłyną na wzrost nastrojów kapitulacyjnych na Zachodzie, zwłaszcza zaś w Londynie i Paryżu co doprowadzi do odizolowania Polski na arenie międzynarodowej. Taki był najogólniejszy sens hitlerowskiej dyplomacji ostatnich dni po koju, owych nacisków, ofert, udawanych dążeń pokojowych, inspirowanych misji mediacyjnych które w najmniejszej mierze nie

państwo polskie tak czy tak będzie przekreślone”.

Czytając książkę HENRYKA BATOWSKIEGO „Agonia pokoju i początek wojny” (Wydawnictwo Poznańskie, 1969) zadajemy sobie pytanie, czy nadzieje niemieckie co do możliwości odizolowania Polski były aż tak płonne, jak byśmy chcieli wierzyć? Wprowadzić francuski minister spraw zagranicznych Georges Bonnet zapewnił ambasadora Łuka szewicza jeszcze pierwszego dnia wojny, że „Francja wykona całkowite zobowiązania” a angielski premier Chamberlain w tym samym dniu — jak za notował ambasador Raczyński — „rzucił rekawicę Hitlerowi i hitleryzmowi i zapowiedział walkę aż do ich zniszczenia”, ale za słowami nie przyszyły czyny, a nawet i te słowa wypowiedziano niejako pod presją, bez większego entuzjazmu. Anglia i Francja wciąż tudyliły się co do możliwości kompromisowego — kosztem Polski — rozwiązania konfliktu i podtrzymywały te nadzieje dyplomacji hitlerowskiej. Jakże wymowny jest mało znany epizod z dnia 2 września, który opisyje H. Batowski. Oto około 10 godzin 19 urzędowy łącznik niemiecki Mini-

sterstwa Spraw Zagranicznych przy osobie Hitlera Walther Hewel zadzwonił do przebywającego w Londynie korespondenta niemieckiej agencji DNB i doradcy prasowego ambasady Rzeszy Fritza Hessego, z którym już raz się tego dnia porozumiał. W słuchawce odezwał się Ribbentropp „nie podając swego nazwiska i żądając nietytułowanego go (Hesse pisze, że poznał go po głosie) i wydał następujące polecenie: Proszę udać się niezwłocznie do swego partnera, wie Pan, kogo mam na myśli, i oświadczyć mu, co następuje: Fuehrer jest gotów wycofać się z Polski i zaproponować odszkodowanie za wyrządzone już szkody, w założeniu, że otrzyma Gdańsk i połączenie przez „korytarz”, jeżeli Anglia obejmie pośrednictwo w konflikcie niemiecko-polskim. Fuehrer upoważnia Pana do przedłożenia tej propozycji gabinetowi angielskiemu”.

Stuznie przyznaje polski historyk, że oferta ta, podobnie jak wiele innych podobnych dyplomacji niemieckiej, miała wszystkie cechy „podstępny i oszustwa” i jej celem było odwołanie konfliktu angielsko-niemieckiego. Podobny sens miały też projekty i sugestie wysuwane przez inspirowanego przez Goeringa szwedzkiego

przemysłowca Birgera Dahlerusa, który ustawicznie kursował między Berlinem a Londynem.

Nie ukrywamy swego oburzenia, że nasi sojusznicy z września, w tych najtrudniejszych dla nas chwilach, prowadzili trudną do zrozumienia, niezbyt przecież lojalną wobec nas politykę. Zapewne wiele racji ma H. Batowski twierdząc, że trudno na jednej płaszczyźnie stawiać obu zachodnich partnerów Polski. Polityce angielskiej w 1939 mażemy zarzucić wiele, ale na pewno więcej polityce Paryża — to nie ulega wątpliwości. Co zaś najbardziej zastanawia i zasmuca to przecież nie tylko sprawa, że sprzymierzeńcy nie byli skorzy do wywołania się z zobowiązań, lecz także, że nie dostrzegali, że ich wypowiedzenie leży w ich własnych najżywniejszych interesach. Nie trzeba było być wtedy prorokiem, aby domyślić się, co stanie się po upadku Polski. „Potem ruszą na Zachodzie jeszcze najbliższej zimy — pisał Hitler do Mussoliniego dnia 27 sierpnia 1939 roku — najpóźniej na wiosnę, z siłami, które co najmniej dorównują francuskim i angielskim”.

JÓZEF GRZELAK

Trzydziesty dziewiąty ostatni tydzień pokoju

ich potrzeb okazała się tak długa, by ich zaspokojenie przez stronę niemiecką było zupełnie niemożliwe. Hitlerowi nie pozostawało więc nic do czynienia, jak przelknąć gorzką pigułkę i przyjąć stanowisko „Duce” do wiadomości,

wpływały na zmianę dawno podjętych planów. W liście Hitlera do premiera francuskiego Daladier wręczonym ambasadorowi Coulonde dnia 27 sierpnia znalazło się takie, niewątpliwie szczere zdanie: „Bez względu na wynik wojny obecne

Miasteczko nad Nerem



Fot.: A. W. PIETRZYK

Pastelowe domki na zielonej płaszczynie łak, przepasane wstążką rzeki, która nie pachnie fiołkami ponieważ nazywa się Ner — to Poddebice. Krowy leniwie spacerują tutejszymi uliczkami, stwarzając aurę niecodzienności. Dawniej same chodziły za miasto na wspólny paśnik, teraz właściciele mają obowiązek im towarzyszyć. Poddebice są od kilkunastu lat stolicą powiatu, nie wypada więc, żeby po stolicy krowy włożyły się samopas.

Miasteczko Neapolem może nie jest, gdyż już w samej nazwie przechowuje wdzięk staropolsko-

ci, a ponadto klimat ma raczej swojski, daleki od egzotyki, rodzimy. Unosi się nad nim błogi spokój, pachnie mlekiem i świeżym chlebem o smaku dawno zapomnianym przez mieszkańców wielkich miast. Oczywiście i tu stare układy społeczne zostały przeoraane plugiem najnowszej historii, lecz smak chleba pozostał nie zmieniony. Zawdzięczają to poddebiczanie piekarskim rodom Podrzyckich, Siedlikowskich i Mikołajczyków.

Uliczki w tym miasteczku są krótkie, domki niskie, ludzie spokojni. Nie ma tu absolutnie chuli-

ganów, gdyż nie ma w ogóle młodych chłopców. Piękne dziewczęta siedzą więc samotnie w „Złotym Kłocie” i marzą. Kilka lat temu zachwiana równowagą biologiczną wyrównali na krótki okres czasu specjaliści od elektryfikacji „zwani tu powszechnie „drućnikami”. Kawalerowie od wysokich napięć zburzyli sielski nastrój miasteczka, wnosząc w progi domów blady strach, a w progi jedyne lokalu gastronomicznego atmosferę westernu. Podczas ich pobytu rozlegały się w miasteczku codziennie dzikie, pijane okrzyki, słychać było gdzieś odgłosy pojedynczych bójek a nieraz i frontального mordobicia. Stróża prawa rozleniwieni długoletnim spokojem okazali się dość bezradni. Oczy wszystkich mieszkańców zwróciły się wówczas w kierunku najbliższego człowieka w Poddebicach, woźnicy Kaganowicza. Kaganowicz — chłop o niebywałej sile, spokojny i dobroniosny, spełniając wolę swych ziomków postanowił ukrócić swawolę przybyszów. Wyszedł im pewnego wieczoru na spotkanie, zastąpił drogę rozhułkaną gromadzie i ruszył do natarcia jak taran, obdzielając wszystkich szczerze, solidnie i po ojcowski kulakami. Był to jeden z nielicznych wypadków, kiedy w bezpośrednim starciu z masami kompletne zwycięstwo odniosła jednostka. Cięgi widocznie były skuteczne, gdyż od tamtego czasu w miasteczku zapanował spokój.

Upokorzona młodzież perfidnie się jednak zemściła na Kaganowiczu. Najprzystojniejszy z elektrykomonterów uwiódł i porwał mu z demu córkę, dosłownie porwał. Wywiózł gdzieś na drugi koniec Polski, a później kazał jej wracać do ojca. Jak widać dzentelmenem nie był ten zagrodowy Belmondo.

Poza tym życie w Poddebicach nie obfituje w jakieś większe wydarzenia, sensacje czy oplotkowe skandale, lud tu zacny, poczciwy i praworządny. Nawet bimbru w tej okolicy się nie produkuje. O ład i bezpieczeństwo dba kobieta — prokurator powiatowy pani Anna Pytel, znana z surowości i słynna z tego, że była pierwszą powojenną łódką milicjantką. Wiatr historii zawsze obchodził się z Poddebicami łagodnie, nawet młyn ostatniej wojny nie uszkodził miasteczka.

Dzieje Poddebic choć liczą sobie kilkaset lat zawsze były spokojne, lecz nie można powiedzieć, żeby mieszkańcy się z tego powodu nudzili. Sporo jest tu też ciekawych, interesujących ludzi, dodających prowincji swobodnego kolorytu, np. ksiądz, aptekarz i lekarz. Książę do poglądach bardzo demokratycznych. I obyczajach także. Zniósł w kościele kolatorskie ławy, zasądza w nich dziś wierni wedle zdrowia, siły i wieku, a nie według lokalnego dostojęstwa. Elita małomiasteczkowa stała się z tego powodu nieco mniej ofiarna, a może i mniej pobożna, bo mniej wyróżniana.

Drugim w kolejności autorytetem był jeszcze do niedawna aptekarz Walenty Pertkiewicz, żył

lat 90, z tego 70 pracował w aptece. Miał dużą słabość do kobiet, podrywał do końca życia.

Spośród lekarzy najbardziej znanym i lubianym jest dr Porębski zwany popularnie „Grypką”. Jego koledzy po fachu powiadają złośliwie, że leczy tylko sulfathiazolem, a podczas wizyty zasypia. Pacjenci go szanują i lubią. Jest to postać miasteczka. Chodzi zwykle z dwoma teczkami, co 50 metrów przystaje i bada sobie puls. Drugą teczkę nosi wyłącznie dla zachowania równowagi. Znany jest z wyjątkowej kurtuazji i grzeczności. Należy do pierwszych obywateli Poddebic. Pierwszy też w miasteczku miał motocykl. Jak dojeżdżał do zakrętu z szybkością 20 km/godz. to już z daleka wołał „uwaga!”. Kiedy widział, że stoi na ulicy grupka ludzi zatrzymał się, schodził z motoru i prosił, żeby się rozeszli gdyż może spowodować wypadek.

Z innych barwnych postaci miasteczka wymienić należy kapelmistrza dętej orkiestry strażackiej, 83-letniego Ryszarda Binde- ra. Ten siwy jak gołabek, wąsaty, jowialny starszek dyryguje orkiestra od 1918 roku. Z zawodu powroźnik, z uzdolnień muzyk, z zamiłowania strażak a w ogóle uroczy człowiek, pogodny, z rzędu tych, których coraz rzadziej się na świecie spotyka. Drugim starszkiem, który dodaje polskim prowincjonalnym miasteczkom niezapomnianego uroku jest jego rówieśnik — koszykarz Andrzej Gosławski. Wyróżnia się tym, że podobnie jak Dabrowski przeszedł z ziemi włoskiej do polskiej. Piechota.

Do starych i znanych rodów Poddebic należą także Lewandowscy i Ożarowicze. Obywatele mieszkający przy kościele. Ci co mieszkają za kościołem, zwani „zakocieleńnikami” uchodzili niegdyś za osoby gorszej proveniencji. Ale był to podział stary, obecnie już nieaktualny, obecnie, to znaczy od chwili zbudowania osiedla nowych bloków. Teraz mieszkańcy miasteczka dzielą się na „hołotę z bloków” i „obywateli z domków”.

Kiedy jeden z miejscowych dyrektorów zaproponował swemu kierowcy, zakocieleńnikowi, ojcu sześciorga dzieci, mieszkającemu w walcach się już ruderze, iż załatwi mu mieszkanie w blokach, kierowca był oburzony. „Z tą hołotą mam mieszkać? Nigdy!” Jednak zamieszkał.

Pod względem obyczajów i mentalności starsza generacja Poddebic stanowi osobliwy skansen, śmieszny, swojski i przez swoje nieszkodliwe wsteczństwo sympatyczny. To rzemieślnicze niegdyś miasteczko szewców, czapników, dekarzy, powroźników i koszykarzy z trudem zachowuje resztki starych wzęd i lokalnych hierarchii wśród których lekarze zajmują do dziś poczesne miejsce.

Drugą grupę inteligencji, posiadającą materiałnie, stanowią nauczyciele miejscowego liceum ogólnokształcącego. Liceum jest jednym z najlepszych w woje-

wództwie, posiada bardzo zdolnych i oddanych pedagogów, cieszących się dużym poważaniem w miejscowym środowisku. Szczególnie ceniony i szanowany przez młodzież i dorosłych jest profesor języka rosyjskiego Andrzej Kuźmiec, następnie historyk Mieczysław Zieliński oraz małżeństwo Sławińscy. Pani Halina Sławińska należy do licznej rzeszy polskich nauczycielek uprawiających kult Marii Konopnickiej.

Liceum w ogóle jest centrum kulturalnym miasteczka, które, nie uwieczając nikomu, jest pod tym względem dość opóźnione w rozwoju. Nie ma tu ani domu kultury, ani jakiegokolwiek zespołu artystycznego, jest tylko biblioteka, lecz od dwóch lat w remoncie. Poddebice to, niestety, biała plama na kulturalnej mapie naszego województwa. Miasteczko całkiem zapomniane przez prelegentów, pisarzy, teatr objazdowy, a nawet przez „chalturszczyków”, no i rzecz jasna również przez Wydział Kultury Woj. Rady Narodowej. Podniesione nieoczekiwanie do rangi powiatu nie bardzo potrafiło tę szansę zdyskontować. Wprawdzie w ramach administracyjnego awansu przybyło tu parę małych instytucji o bardzo długich nazwach, lecz nie zmieniło to oblicza miasteczka. Dość bierna i zachowawcza postawa tutejszych mieszkańców skłoniła władze wyższe do obsadzenia powiatowych stanowisk ludźmi z zewnątrz. Powiatową administrację obstarwił w komplecie chłopię z pobliskiej wsi Swotrawa, handel natomiast opanowali mieszkańcy Uniejowa, znani od dawien dawna z ormiańskich ta- lentów. W Poddebicach zwa ich Bogumiłkami. Nazwa wzięła się od patrona Uniejowa — arcybiskupa gnieźnieńskiego, światobliwego Bogumiła, który choć nigdy nie był kanonizowany, w Uniejowie uchodził za świętego. Główna uliczka w tym miasteczku nosi nawet oficjalną nazwę ulicy św. Bogumiła.

Poddebiczanie swego świętego nie mają, lecz chlubią się z kolei tym, że są stolicą powiatu. Wspominam o tych drobnych lokalnych ambicjach, nie dlatego, że są istotne, lecz dla uzupełnienia obrazu polskiej prowincji, gdzie zaściankowa szlachta zastąpiła zaściankowość światopoglądu. Poza tym muszę się przyznać, że mam słabość do takich małych, przylutnych miasteczek, gdzie jeszcze dziadkowie opowiadają dzieciom narodowe legendy, gdzie na powstańczych kurhanach składa się kwiaty na święta, gdzie spotyka się ludzi o wyrazistym typie psychicznym, ukształtowanym przez historię, gdzie matka wysyłając córkę na obóz cerski powiada jej na drogę: „Kieruj się kompasem i paciierzem”, albo: „nie śmieć na postojak ani we własnej duszy”.

Ten kompas i paciierz to jest droga jaka przeszliśmy. Jaka przeszły także Poddebice, pierwotna posiadłość parafii od XIV wieku, aż do pierwszej połowy wieku XX.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Kuźnia przy Piotrkowskim Trakcie

Pracował kiedyś, jeszcze przed pierwszą wojną światową w fabryce J. Johna rosyjski monter. Przyjechał montować w Rosji kupioną maszynę, ale koszty jego pobytu pokrywała łódzka fabryka. Co tydzień szedł do kasy, wypełniał odpowiedni blankiet, gdzie wpisywał wydatki na

mieszkanie, żywnienie, łaźnię i komunikację aż pewnego dnia dopisał nową pozycję: „człowiek nie jest z drewna — 5 rb”. Kasjer na wet nie mrugnął. Sprawdził, czy zgadza się suma i wypłacił. Tak trwało przez dłuższy czas. Któregoś jednak dnia kasjer przekreślił ostatnią pozycję i napisał czerwonym atramentem: „ale też i nie z żelaza”.

W świadomości społecznej utarły się pewne pojęcia na temat cech ludzi sprawujących różne zawody. Drwa le są silni i zdrowi, bo pracują na powietrzu, górnicy, hutnicy i kowale, choć pracują w trudnych warunkach, też odznaczają się siłą fizyczną. Najgorzej jest z włóknarzami, bo ich stale niszczy pył i kurz. Wiele już zmieniło się od czasów, w których kształtowały się te pojęcia, a do starych choroób zawodowych przybyły nowe i nie oszczędza one ani tych, co pracują na powietrzu, ani tych, co w pomieszczeniach. Tak więc metalowcy, choć tyle mają do czynienia z żelazem, rzeczywiście nie są ludźmi z żelaza.

— Co wy tam w Łodzi możecie powiedzieć o meta-

lowcach — powiedział Karol Bednarz, rodowity Ślązak, a mój kolega po fachu, któremu nieopatrnie opowiedziałem prawdziwe przebiegi wydarzeń z rosyjskim monterem. — Perkaliki robicie, zawszeście byli tylko włókniarze.

Więc zacząłem wyciągać mu, zaginając palce, że ZM im. J. Strzelczyka — dawniej fabryka Józefa Johna, a dziś jedyny w kraju producent szliferek, potem „Wifama” i „Majed”, które produkują maszyny włókiennicze, to będzie trzy i trzy palce miałem już zagięte. „Spomasz” robi maszyny i urządzenia dla przemysłu spożywczego. To cztery. Dalej Łódzkie Zakłady Kserograficzne, które nawet w Lipsku otrzymały złoty medal za nowoczesne rozwiązanie kserografii i „Wizametu”, który robi popularne „Pol-silvery”. W dwóch fabrykach robi się części do polskiego „Fiata” — razem jest już osiem. „WUKO” adaptuje samochody dla gospodarki komunalnej. „Politek” — produkuje budziki, tarchometry i inne urządzenia pomiarowe. Do tego trzeba dodać fabryki części zamien- nych dla przemysłu włóki-

ennego, włókienniczych szficznych i fabrykę aparatury medycznej. Już mi palców nie starczyło, ale Karol Bednarz tylko się uśmiechnął.

— Struktury zmieniamy — powiedziałem mu na to. — Możesz sprawdzić. W tym roku przemysł lekki da 52,7 proc. całej produkcji Łodzi, a przemysł maszynowy i elektrotechniczny — 17,3 proc., ale pod koniec nadchodzącej pięcioletki przemysł lekki da 53,7 proc. produkcji a elektrotechniczny i maszyny — 24,4 proc., czyli prawie jedną czwartą. Włókiennictwo nadal będzie dominować, ale o nowoczesności miasta decydować będzie prężny i stale rozwijający się przemysł metalowy i elektrotechniczny.

Zaczął się to wszystko tak naprawdę od włókiennictwa. Już wiele razy cytowano w różnych publikacjach znany raport Stanisława Staszica, który po podróży lustracyjnej odbytej w 1825 roku właśnie Łódź wyznaczył na centrum wielkiego przemysłu włókienniczego. Było tu już kilka fabryk, a między nimi fabrycznia i drukarnia sukna Karola Saengera i przedalnia bawełny Fryderyka Wen-

discha. W następnych latach powstały dalsze. W 1828 roku Łódź liczyła 2 843 mieszkańców, a w 10 lat później — 12 176. Pół miliona na osiągnęła w 1913 roku.

Była to Łódź włókiennicza, ale włókiennictwo w tym czasie szybko się rozwijało, modernizowało i mechanizowało. W 1840 roku pracuje już w Łodzi pierwsza maszyna parowa. W halach fabrycznych pojawiają się urządzenia transmisyjne, stale rośnie ilość maszyn. Potrzebni są nie tylko włóknarze, ale i kowale, którzy zajęliby się remontem i konserwacją maszyn. W 1866 roku przyjeżdża do Łodzi Józef John — poddany austriacki, kowal z zawodu, posiadacz niewielkiego kapitału. Akurat ma tyle, aby kupić sobie działkę nr 700 przy Piotrkowskim Trakcie i założyć kuźnię.

Zjawienia się Józefa Johna w Łodzi nie można pod żadnym pozorem uważać za narodziny przemysłu metalowego, bo już w tym czasie wiele fabryk włókienniczych miało własne warsztaty naprawcze. W 1878 roku w Łodzi istniało już 5 fabryk przemysłu metalowego: J.

Johna, Poznańskiego, Soderstroma, Zimmermanna i Remusa. Przy czym fabryka J. Johna była z nich największa. Druga duża fabryka przemysłu metalowego powstała w Łodzi w 1896 roku. Była to „Fabryka i Odlewnia Żelaza Miller i Seidel S. A.”.

Józef John zajął kuźnię, najpierw pracował w niej sam. Przez jakiś czas miał współnika — Berenta. Szybko dorobił się i zaczął kuźnię rozbudowywać. Zrozumiał, że koło włókiennictwa można dobrze prosperować, trzeba tylko jemu służyć. W końcu z kuźni stała się „Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza J. John w Łodzi — Specjalna fabryka transmisyj”.

* * *

Narodziwszy się w cieniu włókiennictwa łódzki przemysł metalowy długie lata pozostawał pod jego przemożnym wpływem. Był po prostu na jego usługach, choć do drugiej wojny światowej — i to jest chyba jakąś prawidłowość, mająca swoje źródło w genezie łódz-



„MIŁOŚĆ W ZAULKU”

Dobra proza obejdzie się i bez wstępu. Z takiego widać stanowiska wyszedł edytor, Państwowy Instytut Wydawniczy, oddając do rąk czytelnika pokazanej objętości tom opowiadań Irwina Shawa pt. „Miłość w zaułku”. Szkoda jednak, że wstępu nie ma, bo chciałoby się dowiedzieć i o różnych zapewne okresach pisarskich w jakich owe opowiadania Shaw napisał, a i o samym autorze też by się przydało nieco wiadomości, bo nie mamy znowu tak wiele okazji o nim czytać. „Młode lwy” wydano przecież dość dawno. A to, co z tamtej powieści wiemy, że Irwin Shaw jest bardzo dobrym pisarzem, w opowiadaniach znajduje jeszcze raz potwierdzenie.

W piętnastu opowiadaniach, jakie składają się na tom, nie ma żadnego, które by nie interesowało zwartą fabułą, nie cieszyło klarownością konstrukcji, nie wciągało w precyzyjnie i atrakcyjnie pokazany konflikt, bohaterami wszystkich są zwykli amerykańscy ludzie w różnych okolicznościach i sytuacjach życiowych, przeżywający mniejsze lub większe dramaty i rozterki duchowe, ale wspólnym mianownikiem opowiadań jest to, że owe sytuacje i dramaty są nie tylko amerykańskie, są po prostu ludzkie. Shaw, mądry realista, zna doskonale człowieka i nieobee mu są jego przeżycia, choćby najmniej ważne i banalne. Nie obawia się pisać o sprawach małych i powzednich i robi to w sposób znakomity. Mimo, że lekturę opowiadań można przerwać po którymś kolejnym, mimo, że tom „Miłość w zaułku” leży sobie pięćset stron, czyta się go jednym tchem i jednego wieczora. Tak dobra jest proza Irwina Shawa.

(B. M.)

Irwin Shaw, „Miłość w zaułku”, PIW, W-wa 1970, str. 451, cena zł. 30.—

ANDRZEJ GRUN

Na początku był garnek

Zamierzonymi wydają się dziś czasy, kiedy ceramika zamknięta była niemal wyłącznie w wąskim kręgu form użytkowych. Jej obecność w naszym otoczeniu uważamy za rzecz oczywistą i naturalną. Nie zawsze uświadomiamy sobie natomiast jak dalece zmieniła się jej funkcja, jak szaloną ewolucję przeszła w ciągu ostatnich lat. A przecież nie tak dawno wprowadzona została do architektury jako pełnoprawne tworzywo, jako element współtworzący i współdziałający. Nie tak dawno zdobyła dla siebie cenzus samodzielności w świecie rzeźby, stała się nieodłącznym elementem dekoracyjnym dzisiejszej cywilizacji obok szkła i plastikowych wykładzin. To wiek XX awansował ceramikę do rangi odrębnej i pełnoprawnej dyscypliny sztuki rządzącej się tymi wszystkimi kryteriami, którymi rządzi się zarówno cała współczesna jak i awangardowa, eksperymentująca twórczość. Ceramika, podobnie jak plakat zrobiła zawrotną karierę, lecz droga od glinianego garnka do mieniącej się wspaniałymi barwami patery dekoracyjnej, do ceramicznej wykładziny na elewacji nowoczesnego budynku, do plenerowej rzeźby kolorowym szklivem pyszniącej się w pejzażu, do talerza — obrazu Picassa była długa — pierwsze słupy miłowe na tej drodze ustawiono w zaraniu ludzkości. Mimo tej ewolucji ceramika — spośród wszystkich gatunków sztuki — w najwyższym chyba stopniu zachowała szlachetną ciągłość rozwoju. Materiał podstawowy — glina i sam proces produkcji pozostały niezmiennie. Przy zachowaniu wszystkich doświadczeń, które naniósł stulecia praktyki — ceramika leży u podstaw wszystkich cywilizacji — całą swoją uwagę skupiła ona w ostatnich dziesięcioleciach na doskonaleniu formy, co pozwoliło jej w końcowym efekcie na wyjście poza ramy czysto usługowych funkcji w niezmiernie rejon sztuki dekoracyjnej par excellence a nawet sztuki „czystej” (ceramika czechosłowacka na przykład).

Jak w zwierciadle odbijają się w ceramice aktualne tendencje przeżywające się przez rzeźbę i malarstwo. Rzeźbiarze, którzy nie parają się malarstwem uprawiają ceramikę korzystając z bogactw kolorystycznych zaklętych w polewach. Malarze nie zajmujący się zazwyczaj rzeźbą zainteresowani są ceramiką z racji jej możliwości przestrzennych. Tak więc leży ceramika na styku

dwóch dyscyplin — rzeźby i malarstwa. Warunki komponowania przestrzennego, nieograniczone praktycznie możliwości barwienia, trwałość materiału i jego odporność na warunki atmosferyczne otworzyły przed ceramiką możliwości szalone, z których zresztą w pełni i umiejętnie korzysta.

Ceramika z jednej strony jest kosmopolityczna i niejako ponadczasowa — pod każdą szerokością geograficzną w każdej epoce i kulturze materiał i sposób produkcji były i są w zasadzie podobne. Z drugiej strony ceramika jest zawsze (jak do tej pory oczywiście) bardzo ściśle związana z tradycją rodzimą, z kulturą, w kręgu której powstaje. Jest poniekąd jej wypadkową. Stwarza to ogromną różnorodność twórczości pomnażaną przez indywidualne cechy poszczególnych artystów. Rozpoznawana jest na ogół ceramika polska, bułgarska, holenderska, czechosłowacka... W innych dziedzinach sztuki jest to zjawisko unikalne, właściwie już nie spotykane. W malarstwie, rzeźbie, grafice sztuka zlikwidowała albo likwiduje ostatnie granice — wyjątki jakie się jeszcze uchowały potwierdzają tylko regułę. Ceramika przeciwnie — stara się zachować w sobie jak najwięcej elementów wziętych z przeszłości i

się w związku z wystawą „Tworzywo Ceramiczne w Sztuce Współczesnej”, którą obejrzałem w sopockich salach wystawowych. Impreza pomyślana z rozmachem — bierze w niej udział 70 turystów z krajów Europy i tyluż z Polski — ma być w przyszłości przekształcona w Triennale Ceramiki. Byłaby to druga obok Biennale Ceramiki we Francji impreza tego typu w Europie. Minusem ogromnym owego pokazu jest sposób eksponowania prac. Porozstawiana na postumentach i plan szach ceramika stała się jarmarczonym zbiorowiskiem skorup, tracąc wiele ze swej dekoracyjnej urody, eliminując nawzajem swoje wartości estetyczne. Niemniej wystawa pozwala zapoznać się pobieżnie z aktualnymi tendencjami w ceramice europejskiej.

Bez wątplenia najlepiej i najpełniej zaprezentowała się ceramika rodzima. Szalenie różnorodna, dająca pierwszeństwo formie rzeźbiarskiej przed kolorem swobodnie ale z ogromną kulturą plastyczną kształtowana, bardzo dobrze obrobiona technicznie ceramika naszych artystów korzystnie wyróżnia się spośród innych prac. Dekoracyjność jej jest oczywista, ale jest to dekoracyjność wyciszona, daleka od natrętności i wulgarności, od taniego



przystosować je do nowych potrzeb. Tę więc z tradycją odnajdujemy i w kolorystyce (np. czerwone polewy bułgarskie) i w formie (rumuńskie dzbany o cylindrycznym kształcie bądź polskie figury nawiązujące wyraźnie do ludowych świętków) i w ornamentacji a także w skali i w rodzaju ekspresji. Powyższe refleksje nasunęły mi

efektu i wrzasku. Prostota jest cechą nobilitującą ceramikę z polskich ośrodków. Prostota i umiar, które zapewniają jej jedno z czołowych miejsc w produkcji światowej (o czym świadczy np. nagroda J. Karzewskiej-Koniecznej i Stanisława Koniecznego na francuskim Biennale). Wyraźnie rysuje się na wystawie obraz naszej ceramiki, któ

ry składa się z dwóch zasadniczych nurtów. Jednym płynie twórczość czerpiąca inspirację ze źródeł ludowych, regionalnych, gdzie folklorystyczny pierwowzór przetransponowany został przez artystów profesjonalnych w nowoczesny „styl ludowy”. Drugi nurt, to twórczość artystów związanych z określonymi ośrodkami i „szkołami myślenia” (np. szkoła sopocką, z Łysą Górą, z Włocławkiem) opierająca się przede wszystkim na produkcji unikatowej, autoryzowanej. Twórczość ta odrzuca całkowicie funkcję na rzecz dekoracyjności i rzeźbiarskości.

Spśród eksponatów zagranicznych uwagę zwracają prace Vlastimila Kvefenského — monochromatyczne, matowe obrazy — patery z bogatą krakielurą (siatką pęknięć), o ogromnej sile ekspresji. Czechosłowacka ceramika jest nam zresztą lepiej znana od innych z tego względu, że była wielokrotnie eksponowana w Polsce, jak np. wystawa Dagmar Rosulkové w 1966 r. — artystki parającej się ceramiką ogrodową organicznie związaną z plenerem.

Urzekająca w swojej urodzie, zabawna w pomysłach jest ceramika szwedzka, a zwłaszcza ceramika-łkaniny Solveiga Ueltzöfera. Przeznaczone do wnętrza kompozycje ze sznurków i glinianych kształtek raz barwne, raz szlachetnie stonowane przypominają muszle połączone ze sobą spłotami wodorostów i posiadają ogromne walory dekoracyjne.

Wielu twórców zagranicznych opiera się na rodzimych wzorach folklorystycznych. Rumuni, Bułgari, Jugosłowianie pokazują ceramikę bardzo „narodową”. Zmieniają oni jednak skalę swoich prawzorów, nasycają kolor, modyfikują ornament zdobięcy, uzyskując nowe efekty. Czerwone patery L. Jovana z Jugosławii zdają się żarzyć barwą jak płynny metal.

Formy, którymi operują artyści z NRD są w chwili obecnej tradycyjne i opatrzone. Produkowaliśmy u nas podobne kilkanaście lat temu w Wałbrzychu i Chodzieży. Ta pseudonowoczesność oparta na symetrii, lódkowatym kształcie nie wykazuje ani zainteresowania możliwościami szklivą, ani dbałości o rzeźbiarską formę.

Ogólne wrażenie, które wynosi się z wystawy, to wrażenie bogactwa zaprezentowanych form i pomysłów, rozwiązań kolorystycznych i faktów. Ekspansja malarstwa wzbogaconego doświadczenia abstrakcji, przeniesiona w sferę rzeźby, pozwala ceramicie na osiągnięcie takiego stopnia dekoracyjności, jaki w innych dziedzinach sztuki jest nie do pomysłenia. I to dekoracyjność bardzo szlachetnej. Ponadto ceramika współczesna wyraźnie odcytuje w kierunku architektury — podobnie zresztą jak obserwujemy to w rzeźbie, znajdując właśnie w architekturze najlepsze tło dla samoprezentacji. Związek z architekturą i przestrzenią otwartą pozwala na pełniejsze i bogatsze prezentowanie całej wiodłości walorów dekoracyjnych, na swobodne kształtowanie formy, na stosowanie kolorystyki w takim stopniu, w jakim nie do pomysłenia było stosować ją gdy ceramika zamknięta była w ramach czysto użytkowych.

kiej gospodarki — nie było tu żadnej fabryki z prawdziwego zdarzenia, która produ kowałaby maszyny włókiennicze. I w tym chyba trzeba upatrywać m. in. słabość tej młodej, łódzkiej gałęzi wytwarzania.

Chciałem jednak przekonać się, jak to było naprawdę z tym przemysłem metalowym przed drugą wojną światową. Zadzwoniłem do Zarządu Okręgu ZZ Metalowców i poprosiłem, aby skontaktowali mnie z jakimś bardzo starym metalowcem. Po kilku dniach za dzwonił i powiedzieli mi, że będzie czekał jutro o 17. Wdrapałem się na czwarte piętro kamienicy przy ul. Traugutta 12 i stanąłem przed wcale nie takim starym człowiekiem.

— Nazywam się Stefan Justyna — powiedział. — Chcieliście ze mną rozmawiać.

— Tak. Opowiedzcie trochę o sobie.

— Cóż tu mówić?

Właśnie. Marzył mi się jakiś wielki przemysł, młoty pneumatyczne, dźwigi i promienie słońca z trudem

przedzierające się przez kurz i pył. Ale nic z tego. Stefan Justyna był hydraulikiem. Zaczął swoją karierę w 1923 roku. Najpierw był pomocnikiem. Po 3 latach został monterem. Pracował w Biurze Inсталacji Domańskiego i Spółki, u Godlewskiego i Ziarnińskiego i u Braci Pekańskich. Zakładał łódzką kanalizację, ale po 7 latach pracy znalazł się pewnego dnia na bruku i do wybuchu wojny pracował jako robotnik sezonowy, aby tylko zarobić na zapomóg dla bezrobotnych.

Nie żałuję, że spotkałem Stefana Justynę, bo był on jednym ze współorganizatorów ZZ Metalowców w Łodzi, choć początki tego związku sięgają końca XIX stulecia. Metalowcy w Łodzi nie należeli do najspokojniejszych ludzi, a był czas, że okazywali się śmielsi i bardziej zdecydowani od włókienniczy. I tak mimo woli wróciłem do poglądu o twardych ludziach, jakimi mają być metalowcy. Myślę jednak, że to nie metal hartował charakter, a świadomość klasowa, przeświadczenie o słuszności wybranej drogi.

A tacy ludzie bywali wszędzie.

Przed 75 laty w innym mieście Łodzi, bo przy ul. Wodnej powstała inna kuźnia, która z czasem stała się warsztatem mechaniczno-ślusarskim, aby z początkiem naszego stulecia przekształciła się w fabrykę śrub i nitów. Jej produkcja nie ulegała zmianie i po drugiej wojnie światowej, dopiero nie tak dawno odmieniły się losy fabryki i najpierw z woli MPC produkowała żyłki „Ekstra — Łódź”, a teraz — „Polsilvery”.

Łódzkie Zakłady Wyrobów Metalowych — „Wizamet” stanowią najlepszy przykład drogi, jaką przebywa łódzki przemysł metalowy. Od kuźni do precyzyjnej aparatury — można byłoby powiedzieć w skrócie, ale rzecz nie tyle o nowoczesności urządzeń, ile o nowoczesności sposobu myślenia. To prawda, że są w „Wizamencie” nowoczesne maszyny automatycznie sterowane, są mikroskopy, jest telewizja przemysłowa i wysokie kwalifikacje, ale nade wszystko jest inny — nowoczesny punkt widzenia. Można to określić jednym słowem — koncepcją.

— Telewizja przemysłowa w fabryce — stwierdza mgr inż. Andrzej Zwoliński — nie jest niczym nowym, wszystko zależy tylko od sposobu korzystania, od koncepcji, jakiej się to urządzenie podporządkowuje. U nas pełni ona rolę kontrolera. Zdarzało się, że była też strażnikiem mienia społecznego.

W „Wizamencie” o „programie” zakładowej telewizji decyduje dyspozytor. Kontroluje on przebieg procesu technologicznego i jeśli stwierdza, że gdzieś tempo pracy grozi powstaniem „wąskiego gardła”, to zaraz interweniuje. Kiedy dyrektor pragnie przyjrzeć się pracy któregoś z oddziałów dzwoni do dyspozytora i prosi go o odpowiednią „audycję”. Opowiada mi, że pewien dyrektor — wielki zwolennik nowoczesności — kazał w fabryce również założyć przemysłową telewizję. Pulpit sterowniczy zainstalowano u... niego w gabinecie. Szybko skończyła się „zabawa w telewizję”, bo dyrektor — jak to pow szechnie wiadomo sporo godzin przesiadywał na naradach, konferencjach, zebra niach, a aparatura stała

bezcennie. Więc, jednak koncepcja.

Prawdę tę potwierdza inny przykład, „Wizamet” produkuje żyłki ze stali nierdzewnej według licencji „Wilkinsona” — „Polsilvery”. Licencyjna produkcja nie jest czymś nowym, ale nowy jest sposób podejścia. Wprawdzie trochę później też w oparciu o licencję rozpoczęły produkcję gramofonów z automatycznym zmianem płyt łódzkie Zakłady Radiowe — „Fonica”, ale właśnie ich przykład dowodzi, ile znaczy odpowiednio wybrana koncepcja. „Fonica” licencję kupił handlowcy i... dali do wykonania. „Wizamet” najpierw w swoim laboratorium wyprodukował „srebrną żyłkę” na potrzeby własne. Dalo to znajomości technologii, wygań i pojęcie o skali trudności. Dalo podstawy do rozmów z angielskimi kontrahentami. Kierownictwo „Wizametu” wiedziało teraz czego chce i może uzyskać od specjalistów „Wilkinsona”. Przydało się to też i później.

— Przyjechał raz do nas taki specjalista od sprzedaży taśmy nierdzewnej — wspomina mgr inż. Andrzej

Zwoliński. Chciał nam sprzedać „bubel”. Wystarczyło jedno nasze pytanie, aby zmieszał się i szybko zmienił nie tylko ofertę, ale i sposób rozmawiania.

Łódzki przemysł metalowy jest dopiero na początku swej drogi do nowoczesności. Od kuźni przy Piotrkowskim Trakcie odszedł już daleko, ale też sporo zostało do zrobienia, aby osiągnąć ten cel. Nie jest to jednak rzeczą samą w sobie. Ma on stworzyć warunki dla nowoczesności we włókiennictwie. Bo kiedy w przyszłości znowu się oba przemysły spotkają, to będzie już to inne włókiennictwo, gdzie ważyc będzie elektronika i automatyka, a rozwój przemysłu metalowego przyczyni się m. in. do pokonania najtrudniejszej przeszkody — tradycji. Przyczyni się bowiem do stworzenia nowych środowisk zawodowych, które będą oddziaływać na pozostałe i dlatego tak bardzo miały zależeć na rozwijaniu tej dziedziny wytwórczości. Dla tego tak ważną rolę odgrywa on w programie zmiany struktury gospodarczej Łodzi.

Na skrzyżowaniu kultur

Świat staje się dziś coraz mniejszy i coraz dostępniejszy. Z Warszawy leci się do Paryża niewiele ponad dwie godziny. W ciągu czasu krótszego od dziesięciu godzin można dostać się z Polski do Nowego Jorku czy do Tokio. A jednak wzajemne zrozumienie różnych kultur jest wciąż bardzo utrudnione. Odgradzają je od siebie bariery językowe, szczególnie skuteczne w dziedzinie literatury. Dlatego tak wielkie znaczenie ma dla porozumienia pomiędzy narodami i integracji kultury trudniący się tłumacz, owych nie zawsze do cenianych skromnych żołnierzy frontu kultury, bez których łączność pomiędzy literaturą różnych krajów byłaby niemożliwa.

Do pracowitej armii tłumaczy należy Jadwiga Kukulczanka, która trud swe go życia poświęciła budowaniu pomostów literackich pomiędzy Polską i Francją. Weszła na drogę, która ma w naszym kraju piękna, żywą i chlubną tradycję. Uto rował ją Boy, który sam przyswoił językowi polskiemu dziesiątki dzieł literatury francuskiej. Kukulczanka zaczynała także od teatru. Pisywała recenzje i artykuły na tematy teatralne, wkrótce jednak zajęła się przede wszystkim przekładami. Znalazła się pod urokiem twórczości jednego z czołowych dramaturgów francuskich, Jean Anouilha. Przełożyła „Skowronka”, grane go z wielkim powodzeniem w Warszawie, a potem popłynęła na „fall Anouilha”, która przeszła w latach pięćdziesiątych przez nasze sceny. Przełożyła więc jego „Eurydykę” i „Orkiestrę”, „Bal rzeźmieszków” i „Jarmark”. Obecnie pracuje nad przekładem „Drogięgo Antoniego”.

Wkrótce zainteresowały Kukulczankę także sztuki innych pisarzy francuskich. Tłumaczy „Malatestę” oraz „Miłość czy punktualność” Montherlanta, wraca do klasycznej już dziś twórczości

komedijowej Feydeau („Dudek” przełożony wraz z Wojciechem Natansonem i „Zajmij się Amelią), tłumaczy „Smieszna historia” i „Bulwar Durand” Armanda Salacrou, „Moje Fausta” Paula Valery, „Złodziejkę z Londynu”, „Julie z mych snów” i „Skargę przeciw nie znanemu” Georges, a Neveux, „Czin-czin” Billetdoux i adaptację sceniczną „Trzech muskietierów”, napisaną przez Planchona.

Ale ambicje Kukulczanki sięgają dalej. Pragnie nie tylko torować drogę literaturze francuskiej do Polski, lecz podejmuje trud wymagający znacznie większego wysiłku: chce utworować drogę literaturze polskiej na sceny Francji. Wymaga to nie tylko przekładów sztuk polskich na język francuski, lecz także przystosowania do pojęć i obyczajowości Francuzów, a także licznych zabiegów i starań, które pozwoliłyby unieść kurtynę teatru francuskiego przed polską sztuką. A wiadomo przecież jak trudno jest dostać się na paryskie sceny twórczości innych na rodów, jak niechętny jest teatr francuski wszelkiemu importowi z zagranicy, na wet dziełu wielkiego Szekspira, które właściwie dopiero obecnie zdobywa sobie prawo obywatelstwa we Francji.

Kukulczanka zaczyna mądrze. Bierze na warsztat „Pannę Maliczewską” Zapolskiej i zapewnia sobie współpracę Anouilha. We Francji panuje bowiem taki zwyczaj, że gra się sztuki tłumaczone z języków obcych bardzo często w wersji napisanej na nowo przez wybitnych pisarzy, na podstawie przekładu dosłownego. Już wydaje się, że „Panna Maliczewska” zostanie wystawiona na którejś z poważnych scen stołecznych Francji. Interesują się tą sztuką wybitne aktorki. To przecież znakomita rola. Nazwisko Anouilha daje szansę powodzenia. Ale nie z tego. Niezbadane są losy

sztuk i koniunktur teatralnych. Lata wysiłków Kukulczanki idą na marne. Dotąd żaden teatr francuski nie wystawił „Panny Maliczewskiej”, ani „Skizy”, którego Kukulczanka również przełożyła.

Lepiej powiodło się z twórczością Szaniawskiego. Kukulczanka przetłumaczyła „Dwa teatry”. Tę sztukę nadało radio szwajcarskie, a potem radio paryskie w ramach „Dnia polskiego”. Zainteresowanie wzbudził też przełożony przez Kukulczankę „Dom kobiet” Nalkowskiej, który pojawił się w wersji francuskiej na ekranie telewizyjnym. Oddźwięk prasy był tym razem bardzo przychylny. Pojawili się recenzje w „Le Figaro”, „Aurore”, „Figaro Littéraire”, „France Soir”. Następnym autorem, którego twórczość wzięła na warsztat polska tłumaczka był Tadeusz Rittner. We współpracy z znanym aktorem Jean Rochefortem przełożyła „Lato”, przetłumaczyła także „Głupiego Jakuba”. Te sztuki czekają jeszcze na swoją francuską prezentację. Ale „Latom” interesuje się już francuska telewizja.

Największe zainteresowanie wzbudza dziś jednak we Francji twórczość polskiej awangardy, która wyprzedziła tak bardzo literaturę teatralną znaną i cenioną we Francji od końca lat pięćdziesiątych, nade wszystko twórczość Ionesco. Ojcem współczesnego „teatru absurdu” jest przecież Stanisław Ignacy Witkiewicz, którego sztuki górują zresztą nad „dramaturgią absurdu” w wydaniu Ionesco swą głęboką treścią filozoficzną i sensem społecznym. Kukulczanka zajęła się więc w ostatnich latach przede wszystkim dramaturgią Witkacego. I w tej dziedzinie poszczycić się może najlepszymi wynikami. „Matka” nadana została przez radio francuskie z Germaine Montero w roli głównej. Interesuje się tą sztuką obecnie wielka aktorka francuska Madeleine Renaud i zamierza ją zagrać jeszcze w tym sezonie. Do popularności twórczości Witkacego we Francji przyczynił się też w decydującym stopniu fakt, że tak bardzo cenione wydawnictwo Gallimarda zdecydowało się wydać cykl jego sztuk w serii „Theatre du monde entier”. Wysłała już w tej serii „Matka”, „Metafizyka dwugłowa go ciecia”, „Kurka wodna” i „Szewcy”. W planie jest

opublikowanie „Gyubala Wahazara”, „Sonaty Belzebuba”, „Tumora Mózgowicza”, „Bezimiennego dzieła”, „Mister Price’a”, „Wariata i zakonny”, sztuki „Oni”. Być może, iż wyjdzie także po francusku powieść Witkacego „Nienasylenie”.

Nazwisko Jadwigi Kukulczanki uległo przy tym na okładkach sztuk Witkacego, wydanych przez Gallimarda, bardzo zabawnej transformacji. Aby Francuzi mogli je lepiej przeczytać i wymówić figuruje tam „Koukou Chanska”. A przy tym, obok jej nazwiska, widnieją nazwiska Francuzów, którzy współpracowali z nią przy ustalaniu ostatecznej francuskiej wersji sztuk przez nią tłumaczonych. Są to znani aktorzy Jean Rochefort i Francois Marie, czy też pisarze Claude Roy i Jacques Lacarriere.

Zasługi Kukulczanki dla popularyzacji kultury polskiej we Francji są bardzo poważne. Nie tracąc kontaktu z krajem, odwiedzając Polskę co kilka miesięcy, szuka ona wciąż dróg do Francuzów. To ona przełożyła przecież przed laty „Ślub” Gombrowicza (zanim jeszcze ten pisarz polski stał się w Paryżu tak sławny) i skłoniła nie znanego wówczas reżysera Jorge Lavelli do wystawienia tej sztuki, która stała się pierwszym sukcesem scenicznym autora „Operetki” we Francji. Dodajmy, że znakiem scenografii do tego przedstawienia zaprojektowała Krystyna Zachwatowicz.

Obecnie tłumaczy Kukulczanka sztuki Cwojdziańskiego. Na pierwszy ogień poszła „Hipnoza”, która ma w Paryżu pewne szanse w związku z zainteresowaniem, jakie istnieje w tym mieście dla tego typu zjawisk. Później przełoży Kukulczanka „Teorię Einsteina” i „Freuda teorii snów”. Sztuki te ukażą się prawdopodobnie także w druku.

Nielatwe jest życie paszli tłumaczki. Pokonać musiały wiele trudności. Ale dziś pa trzeci już może z satysfakcją na osiągnięte wyniki. Jest pewne, że położyła ważną cegiełkę przy budowie porozumienia i zrozumienia pomiędzy związanymi ze sobą od wieków kulturami Polski i Francji. A przy tym przyczyniła się do tego, że Polska nie tylko bierze tym razem od Francji, lecz mo że jej ofiarować poważne wartości, doceniane coraz lepiej nad Sekwaną.

OBIEKTYW

KOMU ŻŁOTA KARETA?

Symbolizm przeżywał na przełomie XIX i XX wieku okres wielkiego rozkwitu. Językiem intelektualnym był wówczas język symbolu. Maeterlinck swoje rozważania na temat społeczności ludzkiej ubierał w szatę opowieści o życiu mrówek. Anatol France w swej „Wyspie Pingwinów” zawarł obraz satyryczny społeczeństwa francuskiego z jego aktualnymi wówczas problemami, włącznie ze skandaliczną sprawą Dreyfussa i ingerencją Emila Zolla.

W naszej literaturze czołowym symbolistą był Stanisław Wyspiański. Ilek na przykład symboli napotykaemy w „Weselu”, że wymienię tylko przysłówiowy już dziś Złoty Róg, lub Chochoła i jego taniec. Symbole te były złożone, przeciwstawiające się wulgarnej interpretacji, trudne do odszyfrowania. Sam Wyspiański spytany przez jakiegoś natręta, co należy rozumieć pod postacią Chochoła, odpowiedział unikliem: „Chochoła, drogi panie, chochoła”.

Czy symbole są charakterystyczną cechą literatury współczesnej? Raczej nie. Doświadczenia ludzkości w ostatnich dziesięcioleciach były zbyt bolesne i konkretne, by ubierać je w jakies kostiumy. Język symboli stał się przestarzały i wręcz śmieszny. Nawet Złoty Róg Wyspiańskiego nabral mimo woli cech parodystycznych.

Sztuka Leonida Leonowa „Złota kareta” właśnie w nieco anachroniczny sposób sięga do języka symbolu. Co gorzej symbol jest na tyle zrozumiały, że aż natrętny. Czy do współczesnej problematyki związanej z usuwaniem skutków wojny w psychice ludzkiej potrzeba było zresztą wprowadzać symbol z innego historycznego wymiaru?

Z czym wiąże się pojęcie złotej karety? Na pewno nie ze współczesnym życiem. Ten muzealny rekwizyt odesłał nas gdzieś w czasy rokokowe, pasuje raczej do kostiumowego filmu niż do współczesnego dramatu. Leonow nawiązał wprawdzie w tytule sztuki do ludowego porzekadła rosyjskiego: „Obyś wrócił w złotej karecie!” Porzekadłem tym żegnającym matki swych synów, ruszających w świat w poszukiwaniu szczęścia.

To porzekadło zrodziło się zapewne w czasach feudalizmu, które młodemu człowiekowi z ludu zamykały drogę naturalnego awansu. Złota kareta była więc mało realnym marzeniem o dostatku, o wywyższeniu się jakimś szczęśliwym trafem do poziomu życia klasy panującej. W zastosoaniu do współczesnego życia radzieckiego symbol ten traci wszelki sens.

Owszem, młody człowiek opuszczający małe miasteczko rodzinne może marzyć o karierze naukowej, artystycznej, lub na innym polu. To naturalne. Ale czy pragnie tego po to, by powrócić po latach do swego środowiska z lat młodzieńczych i puszyć się, zadawać sztyku? Czy potrzeba tej konfrontacji, by zmierzyć drogę, jaką się przebyło? Myślę, że problem został postawiony staromodnie.

A mimo to jest w sztuce Leonowa wiele humanistycznego ciepła. Kiedy przed dziesięć laty przygotowywałem adaptację „Złotej karety” dla Telewizji Łódzkiej wraz z reżyserem Jerzym Antekiem, obaj — pamiętam — byliśmy pod dużym jej urokiem.

Tragicznie piękna postać ociemniałego żołnierza i pozbawiony czułości, jakże ojcowski stosunek doń jego byłego frontowego dowódcy — okupuje z nawiązką wszystkie, sztuczne, konstrukcje dramaturgiczne i naiwności. Cała sztuka staje się dyskretną lekcją altruizmu, który w ostatecznym rachunku triumfuje nad ciasnym egoizmem.

Urok sztuki Leonowa oddziaływał wciąż jeszcze, czego dowodem jest, że po latach tym razem Telewizja Warszawska sięgnęła po nią. Oglądaliśmy ją niedawno w reżyserii Lecha Komarnickiego, w bardzo dobrej obsadzie, z której wyróżnić chciałoby się trzech wykonawców: Jana Englerta w roli ociemniałego, Jana Matyjaszczyka w roli jego ojca i Edmunda Fettinga jako pułkownika.

A więc nie symbolizm sztuki Leonowa, nie złota kareta i nie legendarny Pamir zdecydowały o jej sukcesie na ekranie, lecz rozsiłane w niej gesty sprawy o pozornie małym wymiarze, ale dotyczące najgłębszego sensu współzycia między ludźmi.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

O FILMACH DOBRZE I ZŁE

Reżyser Laszlo Nadassy nazwał komedią swój film pt. „I ZNOW Z TOBA...” Miał do tego pełne prawo. Film realizowany jest bowiem w konwencji, którą zwykliśmy uważać za tradycyjnie komediową. Mamy tu pełen katalog komediowych chwytów — czasem postacie poruszają się w przyspieszonym tempie, co zawsze śmieszniej, czasem bohaterowie ni stąd ni zowąd ubierają historyczne kostiumy,

w pejzażu wisiącym na ścianie pokoju pojawia się „śmieszny” mąż bohaterki filmu... No i środowisko, które od lat było żelaznym tematem komedii — poeta, aktorka, dramaturg... — czyli środowisko artystyczne. Wszystko to jednak jest piekielnie nudne, sztampowe i ograne. Do domu czasowego przyjeżdża nieśmiała, zahukana przez męża młoda kobieta. Wpada w wir artystycznego środowiska

które pokazane jest jako gromada idiotów i kobotynów. Laszlo Nadassy nie wymyślił nic nowego — takie „wiedzenie” tego środowiska znamy z wielu filmów — także rodzimych. Nie więc dziwnego, że proponowana przez reżysera komedia nudzi a miejscami żenuje.

W filmie właściwie nic się nie dzieje — naiwniutki moral i finał można już przewidzieć od samego początku, zwłaszcza, że tytuł „I znow z tobą...” taki właśnie koniec zapowiada. Co prawda, film reklamowany jest jako perypetie znużonej męczarki, która w środowisku artystycznym przeżywa kilka niezbyt udanych romansów — ale nie z tych rzeczy! Romanse są równie njeudane jak cały film — jeden pocałunek i jeden chwyt za kolano przystojnej dziewczyny. Odpada więc i ten moment — bądź co bądź — atrakcyjny.

Oczywiście przy tak nikłej akcji mogłyby film uratować dowcipne dialogi. Nie ratują. Bohaterowie wiodą rozmowy typu „W Indiach byłem zającem” — „A tu czym jesteś?” — „Tu jestem zającem...” Nie wiadomo o co chodzi — może w oryginalne tego rodzaju odzywki mają swoje „drugie dno” — polski widz wzdryga tylko ramionami i nie nie rozumie. Kierowniczka domu czasowego mówi do kucharki: „Znowu spis z Lajosem — mówiłam ci, żebyś nie brała przykładu z czasowiczów”. Ot, humorek rodem z prowincjonalnej „Estrady”.

Za filmem przemawia tylko zgrabna Nora Kaldi i letnia czasowa tematyka. To, niestety, za mało jak na komedię i chyba za mało jak na film w ogóle. Jest jeszcze urokliwa melodia ładnej piosenki i latający ta-

lerz, który jednak okazuje się reklamą kosmetyków. W sumie film jest banalny w koncepcji i pretensjonalny w wykonaniu. Reżyserowi Nadassy'emu „udało się” zrealizować nieśmieszna komedię opartą o banalne i zgrane chwyt. Nie był to zabieg specjalnie trudny. Daleko bardziej pomysłowi byli węgierscy dystrybutorzy, którym jak widać udało się ów film sprzedać za granicę.

Zoltan Fabri jest jednym z najbardziej węgierskich reżyserów i on to jest właśnie twórcą filmu „RODZINA TOH”. Zarówno na Węgrzech jak i w wielu krajach (także w Polsce) cieszyła się niegdys sporym powodzeniem sztuka Istvana Orkeny'ego pod tym tytułem. Być może powodzenie tej sztuki skłoniło Fabri'ego do realizacji na jej kanwie filmu.

O co chodzi w tym barwnym, szerokoekranowym obrazie? Otóż pewna węgierska rodzina gości dowódcę syna, który przebywa na froncie w czasie II wojny światowej. Początkowo akcja rozwija się w tonacji komediowej, graniczącej z farsą. Potem jednak beztroski nastrój niespostrzeżenie ustępuje gęstniejącym ciemnym barwom — wydarzenia na ekranie przyjmują wymiar ostrej groteski, karykatury przedstawianego świata. Absurdalny terror, który wprowadza przybysz w rodzinie swych gospodarzy, kryje w sobie zarodek finału przynoszącego aż dwie śmierci...

Jedną z tych śmierci jest mocno makabryczna — bohater zostaje pokrojony na cztery części przez skonstruowaną przez siebie przykrawarkę do kartonów.

A więc makabreska? Czarny humor? A w ogóle film zapowiadany jest ja-

ko tragicznie. Otóż choć film jest piękny, nasuwa się pytanie czy słusznie było przeniesienie na ekran materiału literackiego zawartego w sztuce Orkeny'ego. Zresztą sami krytycy węgierscy przyznają, że choć Fabri pokonał wiele przeszkód — to zatrzymał się w momentach nie do przebycia. Filmowanie statycznego z natury rzeczy widowiska teatralnego nie było łatwe. W sumie nie udało się realizatorowi osiągnąć sukcesu, jaki przypała w udziale sztuce. Wynika to z tego, że realistyczny charakter sztuki filmowej wymaga tworzywa konkretnego a nie abstrakcyjnego. Fabri stępując absurdalność sytuacji oryginalnie zachowuje jedność nastrój i dramaturgię filmu, ale pozbawia „Rodzinę Toth” czarnego humoru, tak charakterystycznego dla literackiego pierwowzoru.

Film nie jest łatwy. Ale jest piękny. Doskonałe grają aktorki — zwłaszcza Zoltan Latinovita w roli majora. Piękne są zdjęcia podkreślające idylliczny a zarazem groźny nastrój prowincji. „Rodzina Toth” jest na pewno filmem do przemyślenia, do refleksji... Pierwowzór literacki, z którego powstał film Fabri'ego jest jednym z podstawowych utworów w nurcie, który sami Węgrzy nazywają „samopoznaniem narodowym”, analizy przeszłości z perspektywy czasu — nie łatwej przecież i skomplikowanej przeszłości tego narodu.

Film ten zobaczyć warto, choć nastrój, kameralny dramat, zawężony w dodatku do statycznej dekoracji mieszkania nie niesie w sobie odprężenia i rozrywki. Ale niesie treści istotne, podane w formie pięknej, wysokiej artystycznej formy.

KINOMAN



Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

GIORGIO DE CHIRICO

Ma 82 lata i z profilu przypomina żywo Hitchcocka. Kiedyś Rene Magritte zobaczywszy w Brukseli po raz pierwszy obraz Giorgio de Chirico zapłakał ze wzruszenia. Yves Tanguy wyskoczył z jadącego przez Paryż autobusu ujrzawszy niezwykle



Giorgio de Chirico

piękno. Był to obraz Giorgio de Chirico. Wyrzucił się o nim w słowach pełnych uznania Guillaume Apollinaire, nazywając dzieła Chirico „metafizycznymi krajobrazami”, interesował się bardzo żywo jego twórczością „papież surrealizmu” Andre Breton, cenili go Max Ernst i Salvador Dalí. Chirico torował drogę malarstwu nadrealistycznemu, z mistrzostwem łączył elementy świata realistycznego z wizją senną, pełną niepokojącego uroku były jego miejskie pejzaże o pustych placach, rozległych arkadach, wędrujących w nieskończoną głębię horyzontu, place ożywione jedną lub dwiema statkami tkwiącymi nieruchomo w odrealnionym krajobrazie. Potem malował manekiny, w których wyczuwa się życie, malował postaci stworzone z najrozmaitszych przedmiotów, kładł długie, mocno akcentowane cienie. To wszystko było świeże i oryginalne i wywarło po-

teżny wpływ na całą generację młodych malarzy. Jakież było następne oburzenie Andre Bretona gdy po roku 1930 Chirico w pełni swej drogi twórczej nawraca do malarstwa akademickiego, zachwyca się twórczością mistrzów od wieku XV do połowy XIX i ostrzega publicznie, że malarstwo współczesne dobiegło wkrótce końca jeśli nie zawróci ze swego dotychczasowego kierunku. „Skończyło się malarstwo” — głosił Chirico i nie bez przekory chyba podpisywał chętnie swe płótna: „pietor optimus” — malarz najlepszy.

Giorgio de Chirico (czyt. Kiriko) urodził się jako syn włoskiego inżyniera. Jego matka była Greczynką toteż Giorgio dzieciństwo swe spędził w Grecji. Do Paryża przybywa w roku 1911 gdzie osiedla się na stałe. Jako włoski pod-

dany podczas pierwszej wojny światowej zostaje wcielony do armii włoskiej i przydzielony do służby sanitarnej, spędza czas w Ferrarze najbardziej „metafizycznym ze wszystkich miast” — jak to określił, zajmując się studiami nad sztuką. Po pierwszej wojnie, w roku 1919 przebywa w Rzymie gdzie zapoznaje się dokładnie z dziełami wielkich twórców Renesansu i ulega ich przemożnej sile artystycznej. Zachwyca się też Rubensem i Delacroix. Nie też dziwnego, że nawet w najbardziej zdawałoby się modernistycznych obrazach Chirico, odnajdujemy techniczną sprawność dawnych mistrzów, zadziwiająca władanie efekta- mi perspektywy, która u Chirico nabiera jakiegoś swoistego metafizycznego znaczenia.

Ostatnio odbywa się re-



trospektywna wystawa twórczości tego malarza w Hanowerze. Zgromadziła ona 250 dzieł: obrazów, rysunków, grafik i rzeźb z okresu 80 lat pracy twórczej Chirico.

Pytany o to co maluje obecnie, a maluje stale, malarz odpowiada: „Maluję to co mi sprawia radość”.

POWRÓT TARZANA

Sądono, że jest już zapomniany, że pozostał wśród lian i dzikich zwierząt, z dala od cywilizacji i problemów zdobywania kosmosu. Przez pół wieku Tarzan budził zainteresowanie czytelników i widzów kinowych, należał do najbardziej interesujących postaci powieściowych i filmowych. Potem zdawało się, że zniknął na zawsze. Ale w roku 1978 Tarzan powraca na ekrany telewizji i karty książek. Jedno z paryskich wydawnictw przygotowuje pełne wydanie dzieł Edgara Rice Burroughsa, człowieka który powołał Tarzana do życia.

Kim był Burroughs? Jego stopa nigdy nie dotknęła afrykańskiego ładu. Urodzony w Chicago w roku 1875 wiódł dość niedźną egzystencję zarabkując do rywca i niewiele. Kiedyś, a był to rok 1911, przeczytał jakąś nowelkę w gazecie i doznał nagłego oświecenia. Podobne bzdury i ja mógłbym pisać — wykrzyknął podobno. Zabrał się do roboty. Powiedział później: „Moja idea było współczesne starożytności — Remus i Romulus, dzieciach wychowanych przez wilczyce”. Tak zrodził się Tarzan, dziecko rozbitków, wychowywane przez matkę w afrykańskiej dżungli.

Tarzan zrobił nieoczeki-

waną, fantastyczną karierę. Nakręcono 36 filmów o Tarzanie, z których najsłynniejszy był film ze znanym w swoim czasie pływakiem Johnny Weissmullerem. Powieści, a Burroughs napisał ich dwa dzieła sześć, ukazały się drukiem w około 50 milionach egzemplarzy i przełożone zostały na niemal wszystkie języki świata, w tym i na esperanto. Tarzan stał się bohaterem licznych komiksów. Tarzan stał się sławny. Lata mijają, a popularność Tarzana trwa. Tarzan mimo upływu lat nie może się przeciwieć zesterzać. Jego atrakcyjność to siła, zręczność, młodość. Więc Burroughs musi go wciąż zachować przynajmniej w wieku dojrzałym. Toteż w jednej ze swych tarzanowskich powieści czterdziestoletni bohater wyznajduje eliksir młodości. Dzięki temu już się nie starzeje.

Ale w miarę jak rośnie sława i popularność Tarzana, wymyka się on spod władzy pisarza, który go stworzył. I Burroughs pewnego razu będzie się skarżył, że filmowy Tarzan nie jest właściwym portretem jego bohatera: „Kiedy Metro Goldwyn-Mayer przenośli na ekran Tarzana, odsunęło mnie od udziału w kreacji przegód mego bohatera. To ja go przecież stworzyłem, ale uznano za właściwsze zamiast mnie zaangażować dziesięciu scenarzystów”.

W komiksach i filmach, wbrew intencji powieściopisarza, który go powołał do życia, Tarzan staje się przez pewien czas wygodną postacią dla tych sfer politycznych, które propagują kolonializm, rasizm, supremację rasy białej.

Jakim wraca obecnie Tarzan na ekrany telewizyjne czy filmowe? Powracający po kilkudziesięciu latach bohatera ucieleśnia przede wszystkim jedno: tęsknotę do życia z dala od zgiełku miast i cywilizacji, marzenia o życiu na łonie natury. Obecny Tarzan jest podobno piękniejszy i młodszymi dawniej, cechuje go prostota i szlachetność, zachował swą dawną zręczność i wdzięk. A człowiek, który go stworzył od lat dwudziestu już spoczywa na ementarzu w

Tarzanna, miejscowości nę zwanej tak na cześć bohatera powieściowego, który wciąż żyje, bowiem wynalazł cudowny eliksir młodości.

KOMIN DZIEŁEM SZTUKI

— „Już mnie ironicznie pytają czy rzeźbię także kaloryfery” — mówi francuski rzeźbiarz Francois Stahly. Wykonał on bowiem ostatnio makietę budynków centralnego ogrzewania z kominem o wysokości 135 metrów. Komin ten stanie w XV okręgu Paryża. Normalnie — jak wiadomo — kominy szpecą miasto toteż dziś o ile to tylko możliwe, likwiduje się je, zasłania lub unika ich wznoszenia. W tym przypadku przyjęto inne rozwiązanie. Komin, z daleka widoczny, obok swej funkcji użytkowej spełnia rolę dzieła sztuki wkomponowanego w całość architektonicznego otoczenia. Koszt zbudowania takiego kominu są dość znaczne bo wyniosą 4 miliony franków, ale jak twierdzi dyrektor od spraw ogrzewania miejskie go opłaci się to, bo — jak powiedział — komin ten



nie tylko nie będzie szpecili, ale stanie się właściwym akcentem urbanistycznej kompozycji.

Ekipa montażowa twierdzi, że wzniesienie takiego kominu będzie znacznie trudniejsze niż zwykłego.

Bez strachu PRYWATNY SŁOŃ

Wiele i często mówiliśmy w domu, w którym niedługo mieszkałem, o sąsiedzie Wiśniewskim i o jego, że tak powiem, prywatnym słońcu:

— Powiadam sąsiadko, u Wiśniewskiego coś stąpa, miętko i cicho, ale tak ciężko — ciężej niż koń, niż wielbłąd.

— Sąsiedzie, a czasami to coś u Wiśniewskiego za- trąbi, cicho, ale szeroko — tak nie trąbi instrument muzyczny.

— A bywa, że coś się u Wiśniewskiego położy na podłodze, tak ciężkie i wielkie jak podłoga, sufit wygina się w łuk i trzeszczy.

— Przychodzi Wiśniewski do sklepu i bierze dwa- dzieścia mendli marchwi, albo siano taszczy ze stajni workami. Bywa, że bierze tuzin pudełek cukru w kostkach i szczytki kupuje, wielkie, ostre, a ręce ma spracowane, a oczy szczęśliwe i obłędne.

— Po co mu to wszystko, moja pani, a ożenił się, rodzinę założyć, nie laska?

— My tu jesteśmy ludzie spokojni, tolerancyjni, ale jak to się skończy, jak to się skończy — żeby go chociaż do cyrku, ale tak w domu trzymać? I subiekcja wielka, a przyjemność nieduża i niebezpieczeństwo dla otoczenia wielkie... Podobno one niekiedy się wściekają i wtedy są straszne.

— Jak się wściekają, to jedyna rada, male dziecko na drodze wiśniewskiego postawić. Trzeba zawsze dziecko mieć w pogotowiu — widok dziecka uspokoi wiśniewskiego, gdyby drzwi i ścianę wyłamał i do nas chciał się dobrać. — Ale od czego taki może się wściec?

— Chyba jeżeli marchew dostanie zgniały, albo siano mało pachnące... Trzeba Wiśniewskiemu wszystkim dawać w wyborowym tunku. Od tego zależy życie nas wszystkich. Człowiek pracuje ciężko, po pracy chce odpocząć, a boi się nawet telewizor włączyć. Bo czort wie, co taki o telewizji myśli, a mądre są podobno i pamięć mają niezwykłą.

— A żyją sto lat — zatem nawet jeżeli ten się nie wścieknie, będzie nad nami wisiał jeszcze przez dziesięćdziesiąt pięć...

— Może zainteresowałaby, przez komitet domowy, do Wiśniewskiego zaapelować, do jego postawy?

— Broń Boże, lepiej tego nie ruszać... Widocznie mu się — zdenerwuje się i złą mu marchewkę pódsunie, albo przy szczytkowaniu zadrasnie, a wtedy trzeba natychmiast dziecko na schody, bo ten się wścieknie i z nami koniec...

— Nie bądźmy gruboskórni. Wiśniewski sam na świecie... A i ten nieszczęsnym w środowisku obcym, bo jakże mu tu dżunglę rodzinną wygotować?

Takie były rozmowy przed laty w moim dawnym domu. Przechodziłem niedawno, przez bramę wdziałem, jak Wiśniewski niesie wiązankę marchwi. Z głębi kamienicy usłyszałem trąbienie.

BERNARD SZTAJNERT



NIEDZIELI NIEDZIELI

MELPOMENA NA URLOPIE

RZEMIENNYM DYSZLEM — 25 „TRUPKÓW” — PANI MODRZEJEWSKA RODZI W SAMBORZE — AKTORSKIE METRYKI — 45 CENTÓW NA OSOBĘ — ŚWIADECTWO POZOLK- LICH WSPOMNIENI — OPTYMISTYCZNA RUBRYKA.

W rubrykach „Teatry” czytamy od paru tygodni — „nieczynne”. Kurz pokrył dekoracje, wygaszone reflektory wiszą zasnutę pajęczyną jak gigantyczne pajaki — w przybytkach Melpomeny przerwa między sezonami. Aktoży na urlopie, widzowie na urlopie...

Dawniej jednak inaczej bywało. Świadczy o tym Stefan Turski — wspomniany już aktor i autor sztuk przeznaczonych na popularne sceny. Turski opublikował jeszcze przed wojną wspomnienia pt. „Gdy Melpomena rze- miennym dyszlem objędziała Polskę”. Właśnie! Gdy przygrzało letnie słonko te atralne ansamble ruszały w objazdy małych miasteczek. Aby żyć trzeba było grać a w dużych miastach trud no liczyć na widzów w czasie lata. W końcu XIX wieku Stefan Turski wystę-

pował w zespołach objaz- dowych na terenie Mało- polski i z tych przygód i doświadczeń napisał po la- tach urokliwy pamiętnik — wesoły i jakże smutny jednocześnie dokument ak- torskiej dołi.

„Właściciel hotelu — pi- sze pamiętnikarz — chcąc przygotować obiad dla ak- torów, zapytuje:

— Szanowny panie, dużo was trupków przyjechało? Według zdania tego pocz- ciwego człowieka, jeśli ca- łość nazywała się „trupa- teatralna”, to poszczegól- ny członek nazywał się „trupek”.

— 25 osób — odpowia- dam.

— Ho, ho, 25 trupków, to będzie wesoło...”

Ale nie zawsze było we- solo. Czasem krzyżowały się trasy zespołów — akto- rzy przyjeżdżali do mia- steczka gdzie przed tygod- niem gościł inny już teatr

— a przecie krążyło ich po Polsce sporo; czasem z zespołu „urywał się” pierw- szy amant z „pierwszą na- twną” i cały repertuar da- blił brali...

Ślady tych historii od- najdujemy dziś, po latach na kartach pamiętników — pisanych zresztą głównie przez aktorów raczej mier- nych, którzy nieraz całe ży- cie spędzali w sunącym po polskich drogach „wozie- Tepsia”. Był na przykład aktor i dyrektor trupy — Konstanty Łobojko, który upamiętnił się w historii polskiego teatru jednym tylko faktem. Ale też był to fakt nie byle jaki. Otóż w jego zespole debutowa- ła Helena Modrzejewska. Łobojko po latach osiadł w Kijowie gdzie... otwo- rzył zakład fotograficzny.

Pozostał jednak po sta- rym aktorze pamiętnik w którym pisze: „W Samborze podczas „Domów polskich” pani Modrzejewska przed ostatnim aktem zaczęła ro- dzić, jednak sztukę skoń- czyła. Po teatrze trzyma- jąc z obu stron pod ręce odprowadziłyśmy ją do do- mu, gdzie za godzinę przy- szła na świat mała Maria. W dziesięć dni po poro- gach grała na nowo w „Ślubach panieńskich” i zaczęła pra- cować dalej...”

W Stanisławowie — wspo- mina dalej Łobojko — po- wodzenie było dobre — publiczność zapraszała na obłady. Tak, tak — to by-

ła miara powodzenia! Po- jechali potem dalej — do Brodów. „Tu wszystko po- szło jak w innych miastach i powodzenie było dość dobre, ale po sześciu ty- godniach wybuchł pożar i zniszczył 120 domów. Dzie- sięć dni nie graliśmy, po- wodzenie się urwało, zapła- cilem tylko połowę gaży i wtedy pani Modrzejew- ska wyjechała do Lwowa wraz z mężem i synem...”

Córka Modrzejewskiej o której wspomina Łobojko zmarła w rok później w Czerniowcach. A wspomnia- ny syn to przecie słynny Rudolf Modrzejewski czyli Ralph Modjeski — twórca mostów na Missisipi, Mi- ssouri, Ohio, Delaware, wy- bitny konstruktor i budow- niczy znany na kontynen- cie amerykańskim. Urodził się w Bochni — też zapew- ne w czasie letniego taur- nee matki. Te metryki ak- torskich dzieł tamtych lat, metryki w których wid- nieją owe miesięcy — Sam- bor, Bochnia, Stanisławów — mówią jakże wiele i jak- że wymownie o cygańskiej dołi aktora.

Pełną uroku „bajecznie kolorową” powieść napisał o tych wędrowkach Ignacy Sewer-Maciejowski. Ale Se- wer znał te sprawy z re- lacji aktorów — upiękso- zone, uszminkowane... W rze- czywistości owe wędrowki były gorzką koniecznością, jedyną szansą przetrwania w służbie sztuki.

„Gramy teraz dwa razy w tygodniu — pisze inny pamiętnikarz — ale naj- częściej przed pustymi law- kami. Niedawno zabrakło nam jedenaście rubli sre- brem do pokrycia kosz- tów”.

Albo przychodziła taka pełna napięcia chwila po przedstawieniu, kiedy „dy- rektor przeliczał resztki ka- sy pozostałe po zaplaceniu kilku bardziej natarczy- wych dostawców i wierzy- cieli i łamał sobie głowę jak tymi kilkoma guldena- mi obdzielić głodną rze- szę. Z wolna otoczyli akto- rzy stół, za którym siedział dyrektor i wyczekując z cierpliwością rezultatu roz- rachowania, otrzymali po 45 centów na osobę...”

Myślę, że te uwagi o wo- jążach aktorów przed stu lub osiemdziesiątą la- ty można pozostawić bez komentarza. Dziś kiedy u- mowy zbiorowe, etaty, płat- ne urlopy i emerytura — dziś wymowa zawarta w pamiętnikach starych akto- rów jest dla nas oczywi- sta. Ale myślę, że warto było przywołać świadec- two zakurzonych, poźół- kłych wspomnień sprzed lat. Bo w ich kontekście króciutkie słowo „nieczyn- ne” w gazetowej rubryce „Teatry” nabiera nieocze- kwanego wyźwięku.

JERZY WIDOK

Meżczyźni ciotki Annabel

Harry wpadł do pokoju z walizką w ręku, zamknął za sobą drzwi i podbiegł do okna, aby wyjrzeć na ulicę. Po-
ciem wszedł na krzesło i zba-
dła żyrandol. Uspokojony usiadł
w fotelu z walizką na kolanach.
Joe i Artie przyglądali mu się
rozbowieni.

Przeszedł już miesiąc od
naszego ostatniego spotkania —
referował Harry po angielsku
z akcentem niemieckim. —
Przypominam, że moja organi-
zacja zobowiązała się wypłacić
wam pięć tysięcy dolarów za
zastralenie prezydenta, który
będzie przejeżdżał przez te o-
kolice. Chcę usłyszeć, jakie ma-
cie plany.

Strzelimy do niego, gdy na
stacji wyjdzie z przedziału, że
by wygłosić przemówienie. Po-
ciąg zatrzyma się w Red Tree
dwadzieścia minut. Strzał pad-
nie z miejsca oddalonego o
trzysta metrów od stacji. Joe
przygotował niemiecki karabin
z teleskopowym celownikiem,
który umieścił się na trójno-
gu. Jest pierwszorzędnym strzelcem.

Nie rozumiem, gdzie chce-
cie ustawić trójnog? Agenci
FBI skontrolują metr po me-
trze strefę, przez którą za czte-
ry dni będzie przejeżdżał pre-
zydent. Przesięła domy, hotele
i lokale publiczne.

Punkt, w którym chcemy
zamontować trójnog jest pew-
ny. Red Tree — to wioska po-
łożona między dwoma pagórkami,
jeden z nich znajduje się o
trzysta metrów w linii powietrz-
nej od stacji. Prawie na szczy-
cie wznosi się duży dom, w
którym mieszka stara, samotna
kobieta, pani Annabel Drake.
Na piętrze są trzy małe wi-
doczne okienka w dachu.

Myślicie, że policja nie zba-
da tego domu? Tym bardziej, że
wznosi się ponad linią kolejową.
Czy zamierzacie tam się za-
instalować.

— Właśnie tam.
— Czy nie rozumiecie, że po-
licja usunie was stamtąd pod
jakimkolwiek pretekstem? Każ-
da nowa twarz wzbudzi podej-
rzeźnie.

— Ale nie w przypadku krew-
nych pani Annabel Drake. Joe
spędził tydzień w tych okoli-
cach jako amator-wędkarz. Krę-
cił się między ludźmi, rozmawiał
z nimi i dowiedział się
wielu rzeczy o pani Annabel.
Joe, opowiedz historię życia tej
pani.

— Pani Drake jest wdową,
ma siedemdziesiąt lat — re-
cytował Joe. — Całe życie spędziła
w domu na wzgórze. Jej sio-
stra Mary, mając dwadzieścia lat
uciekla z pewnym komiwojażerem,
Titusem Linkem. Oj-
ciec wyrzekł się jej, a nawet wy-
dziedziczył ją z wszelkiego ma-
jątku. Matka zmarła w rok po
ucieczce córki. Annabel pozos-
tała sama z ojcem. Traktował ją
bardzo źle, wprost jak niewol-
nicę — pomywaczkę.

Gdy Annabel osiągnęła czterdzieści
lat, ojciec zmarł na atak serca.
Wkrótce potem córka wynajęła
prywatnego detektywa celem
odnalezienia miejsca pobytu
Mary. Poszukiwania wykazały,
że Mary rozeszła się z Tiu-
sem i przeniosła się wraz z
synkiem do Kalifornii. Dalej
ślad zaginął. Annabel, jako
czterdziestopięcioletnia kobieta,
poślubiła akwizytora Johna Dra-
ke. Mąż okazał się nałogowym
pijakiem, maltretował Annabel
i w rok po ślubie uciekł z ich
służącą.

— Obie siostry unieszczęśli-
wione przez mężczyzn — zau-
ważył Harry.

— Tak. Odtąd Annabel zam-
knęła się w sobie, nie chciała
widzieć nikogo. Jedynym celem
jej egzystencji stało się poszu-
kiwanie siostry. Zamieszcza
ciągle ogłoszenia w gazetach ca-
łej Ameryki.

— To jakaś mania — wtrącił
Harry. — Mimo wszystko nie
rozumiem jeszcze...

— Ja dokończę opowiadanie
kolegi — rzekł Artie. — Mary
nadała synowi imię Titus, który
ma teraz trzydzieści siedem
lat. Prawie tyle, co ja. Zjawiał
się w domu pani Drake jako
Titus Link junior i opowie-
m cioteczce jak zmarła jej siostra,
czyli moja matka. Już do niej
napisałem, oczekuje mnie jutro
i na pewno zatrzyma mnie w
swym domu przez kilka dni
jako siostrzeńca.

Harry zamyślił się. — To do-
bry pomysł, ale jak Joe będzie
mógł uczestniczyć w tym pla-
nie?

— Joe jest mi potrzebny do-
pięro w momencie nadejścia
pociągu. Ja już ustawię cały
ekwipunek w jednym z pokoi-
ków na piętrze. Joe powrócił do
Red Tree, ażeby łowił ryby.
Spotkam go przypadkiem w ba-
rze i zaproszę do domu jako

starego przyjaciela, o czym po-
informuję ciotkę Annabel. Wy-
starczy, jeśli Joe przyjdzie na
pół godziny przed przyjazdem
pociągu.

Harry przytaknął. — Ten plan
powinien się udać. Sądzę, że za
robiliście już pierwszą połowę
walizeczki i wyjął paczkę bank-
notów, którą podał Artiemu.

— Ach, tak... — stęknęła płac-
liwym głosem, czerwieniąc się.
— Wejdz, proszę, wejdz!
Artie wciągnął do wnętrza
swą walizkę i zostawił ją w
przedpokoju. Usiedli w staro-
świeckim saloniku i przygląda-
li się sobie. Trwało to dość dłu-
go i Artie zaczął czuć się nie-
swojo wobec czarnych, utkwio-
nych w nim oczu.

— Opowiedz mi o swojej mat-
ce — rzekła niespodziewanie
Annabel.

Artie przybrał smutny wyraz
twarzy, stosowny do okolicz-
ności. — Jak ci już pisałem,
biedna mama nie żyje.
— Kiedy to się stało?
— Dwadzieścia pięć lat temu,
zmarła na serce. Choroba rod-
zinna, przecież i dziadek miał
zawał.

Kobieta spojrzała na niego
zdziwiona. — Skąd wiesz o
dziadku? Twoja matka nie była
powiadomiona o jego śmierci,
nie znalazła adresu.
Do diabła, trzeba uważać! Sta-
ra okazała się osobą inteligent-
ną! Po chwili wahania Artie
wyjaśnił: — Jadąc autobusem
z lotniska poznałem kogos z
Red Tree, kto mi opowiedział
o mojej rodzinie.

— Jak się nazywał ten czło-
wiek?
— Nie pamiętam, wiesz jak to
jest przy przedstawianiu się.
Pucelowała starszka zamilkła.
Uplynęło kilka minut nim
zadadała następne pytanie:
— Powiedz mi, gdzie udali-
ście się z matką po opuszczeniu
Nowego Jorku?

— Do Los Angeles. Matka, pó-
rzuciona przez męża, musiała
ciężko pracować na moje wy-
chowanie i wykształcenie. Led-
wo ukończyłem szkołę elemen-
tarną, gdy zachorowała i uma-
rła.

— A co potem robiliście?
Artie opowiedział własną hi-
storję życia, co mu przyszło
łatwo, gdyż i on został sierotką
jako trzynastoletni chłopiec.
— Gdzie teraz pracujesz?
— Jestem komiwojażerem fir-
my optycznej, która produkuje

mi. In. mikroskopy i teleskopy.
Te ostatnie są moją pasją, mo-
lim hobby. Jestem astronomem
— dytlemantem. Noszę ze sobą
w walizce teleskop, gdyż lubię
obserwować gwiazdy. Jeśli ci
to nie będzie przeszkadzało, to
chciałbym ustawić teleskop tak
że tutaj.

Pani Drake wydawała się zak-
łopotana. — Chciałbyś zamiesz-
kać w moim domu — zaprosiła
bojaźliwie.

Artie usmiechnął się. — Nie
na zawsze, bądź spokojna cio-
teczko, najwyżej na tydzień.
Sprawiliby mi to wielką przy-
jemność.

— Dobrze, dobrze, nie wype-
dzam cię, czuj się tu jak naj-
lepiej.

— Czy ten pokój zajęty? — za-
pytał z obojętną miną.

— Zajęty? Przez kogo? Dlaczego
go się pytasz?

— Ze względu na moje studia
astronomiczne wolałbym miesz-
kać w tym pokoju.

— Dobrze, wybierz sobie ten
pokój, który ci się podoba.

Artie wszedł z walizką do po-
koju. Pomieszczenie było ob-
szerne, z okna widział dolinę i
stację kolejową.

— Tu jest wspaniale, ciociul!

— Cieszę się. — Kobieta spoj-
rzała na zegarek. — Jem kolo-
ację o 18. Masz przelot go-
dzinę czasu, aby się ulokować.
— Przyjdę punktualnie.

Artie zamknął drzwi na klucz

siostrę zmarłą, nie przejawiała
już żadnego zainteresowania
dla niej i dla osoby siostrzeń-
ca.

Po kolacji przenieśli się do
salonu. Pani Drake podała ka-
wę i ciasteczka.

— Opowiedziałem ci już
wszystko o mamie i o sobie —
zauważył. — Możebyś i ty coś
opowiedziała, jak ci się żyło w
tych latach?

— Wegetowałam, Titusie. Ży-
cie moje było bardzo monoton-
ne.

— Zauważ, że nie poznałam
wujka, twego męża. Jak słysza-
łem, małżeństwo wasze było
nieudane, John podobno upi-
jał się i bił ciebie!

Kobieta zaczerwieniła się i
szepnęła: — Ożenił się ze mną
dla pieniędzy. Zdeptał moją mi-
łość już w pierwszym miesią-
cu po ślubie. Mogę stwierdzić,
że zniszczył całkowicie moje za-
interesowanie dla mężczyzn. Za-
chowuję się jak bestia.

— Czy także dziadek był be-
stią?

— Nie upijał się, ale był ty-
ranem. Traktował mnie jak
swoją służącą, a przede mną
służącą była moja matka. Dla-
tego Mary uciekla z domu.

— W jakim wieku zmarł dza-
dek?

— Miał sześćdziesiąt pięć lat,
był silny jak dąb.

Artie usmiechnął się szyder-
czo, zachęcał mu się pozostaw-
iać. — A może ty mu pomo-
gasz pożegnać się z życiem? Ma-
le pchnięcie, co, cioteczko?

Zobaczył, że kobieta spojrze-
ła na niego ponuro, ze scisnię-
tymi wargami. Zaczął machać
przecząco ręką:

— Nie mówię przecież na se-
rio, cioteczko!

Lecz niedługo znów go ogar-
nęło niezdrowe pragnienie za-
bawienia się jej kosztem i do-
dał: — Twój mąż uciekł z in-
ną kobietą, prawda?

— Jak widzę twój informator
autobusowy był wyczerpujący
— stwierdziła Annabel lodowa-
tym tonem. — Dzwieczyna znik-
nęła równocześnie z Johnem i
ludzie wyobrażają sobie, że o-
deszli razem. Może to i prawda,
nie przeprowadzałam dochodze-
nia. Czuję się szczęśliwa, że
się go pozbyłam.

— Dziwne, że policja zostawi-
ła cię w spokoju — zauważył
Artie szyderczo. — Ja, na jej
miejscu, nie ufalabym twym sio-
wom.

— Naprawdę? Co byś uczynił?
— Nie wiem — rzekł Artie,
który zaczynał się świetnie ba-
wić. — Przekopałbym na przy-
kład twój ogród.

Pani Drake zbłądła, w jej
spojrzeniu pojawił się cień stras-
chu.

Mężczyzna to zauważył. Anna-
bel ukrywała straszny tajemni-
cę, nie było wątpliwości...

Dalszy ciąg nastąpi



Lewym okiem

OSZCZĘDZAJCIE WODĘ W GODZINACH SZCZYTU!

Bardzo przyjemnie jest być dowcipnym. Opi-
nie dowcipnego można uzyskać nie tylko reagu-
jąc błyskotliwie na niuanse towarzyskiej roz-
mowy, na zaczepki w powziętej dyskusji, na
niespodziewane sytuacje. Czasem wystarczy po-
 prostu powtórzyć cudzy dowcip, byłoby dobry
i w odpowiednim momencie zaserwowany —
 wybór momentu to też przecież sztuka.

Podobno stacje wodociągów w wielkich mia-
stach stwierdziły ścisłą zależność nie tylko reagu-
jąc od poziomu programu telewizyjnego. Kiedy
idzie Kobra lub festiwal sopoki, ludzie się nie
myją, nie piorą, nie korzystają z ubikacji. Gdy
by taki program trwał długo oszczędność wo-
dy byłaby ogromna. Redakcja „Polityki” do-
daje od siebie, paradoksalnie, ale logicznie: ma
zna sobie kręcąc wojobraci, że telewizja
jest w stanie zastąpić wodociąg!

To jest właśnie dobry, cienki dowcip, który
miałem ochotę powtórzyć. Telewizja zamiast la-
zientki... A na tym jeszcze nie koniec. Telewizja
jest dobra na wszystko, może też wszystko za-

stąpić, bo przecież zajmują człowieka czas i
w tym czasie telewizji nie ma żadnych
potrzeb. Nic mu do szczęścia nie bra-
kuje.

Amerykańskie centra badania zjawisk spo-
łecznych i rynkowych stwierdziły na przykład
niezbicie, że jednym z powodów rozpowsze-
nienia telewizji jest znaczny spadek obrotów
w przemyśle konfekcyjnym i obuwniczym. No
tak: facet siedzi w piżamie, zamiast ruszać się
i drzeć buty i niszczyć ubrania, parasole, ręka-
wiczki, krawaty, kapelusze. Nie zużywa ben-
zyniny, nie zdiera opon na zakrętach, nie zajmu-
je miejsca w teatrze, w pociągu, w parku. Nie
kupuje książek, bo nie ma czasu na ich czyta-
nie. W prasie przebiega oczami po tytułach.
Nie wie nawet co mu żona dała na kolację, gry-
zie coś tam i przełyka, całą świadomością
tkwiąc jednocześnie w telewizyjnych migot-
kach...

Trudno przecenić wpływ telewizji na nasze
życie we wszystkich jego przejawach. Na pew-
no uznać należy telewizję za wynalazek naj-
głębiej drążący obyczajowość, wywracający ca-
ły cykl czynności i przyzwyczajzeń, determinują-
cy zupełnie na nowo bilans czasu każdego z
nas. Jeszcze nie wiemy, co z tego w ostatecz-
nym rozrachunku wyniknie. Na razie wynikają
smutne dzieci.

To się przecież rzuca w oczy. Nie ma już
dzieci biegających z kółkami, grających w pa-
lanta, w spazakę i w komórkę do wynajęcia.
Puste — i najczęściej potamane — stoją tysiące
huśtawek i kręciołków na blokowanych i osiedlo-
wych placach zabaw, trochę ruchu i gwaru jest
tylko w przedszkolach. Starsze dwunasto —
piętnastolatki nie skrzykują się na przechadz-

ki, na majówkę, nie odwiedzają się przyjaciół-
ki dla wielogodzinnych, strasznie ważnych dys-
kusji jak Ania z Zielonego Wzgórza z sąsiadką
Diana Diana siedzi przed swoim telewizjo-
rem, Ania — przed swoim. Jeśli spotkają się
czasem przypadkowo, będą mówić o Sciganym,
Świętym i Klossie. W domach kolonijnych w
obozowiskach i schroniskach dzień jest nud-
ny, dzień jest za długi. trudno się doczekać wie-
czoru i włączenia świetlicowego telewizora. Te
dzieci stają się trochę później dorosłymi ludź-
mi, nie znoszącymi ani chwili ciszy, ludźmi
nie wiedzącymi co ze sobą zrobić, zanudzonymi
sobą, domagającymi się nieustannie zabawia-
nia jak niemowlak grzechotką, ciągłego narko-
tyzowania coraz większymi dawkami zorgani-
zowanej, masowej, arcymasowej, arcybiernej
rozrywki.

Zapewne — wszystko się ułoży i wejdzie w
stan nowej jakieś równowagi. Następne poko-
lenia będą inne od nas, nie ma w tym ani
nie zlego, ani nic dziwnego. Będą bardzo in-
ne, cały świat będzie bardzo inny. Skoro już
teraz Włosi ogłaszają swoje najpiękniejsze pla-
że za niebezpieczne dla zdrowia, bo przybrzeżna
woda Adriatyku jest zatruta ściekami ponad
dopuszczalną granicę, skoro nie można zanur-
zyć się w Atlantyk na francuskich brzegach,
ani usiąść nad jakakolwiek europejską rzeką,
podobną już tylko do wielkiego rynsztoka z naj-
gorszych przedmieść i cuchnąca jak rynsztok
— to rzeczywiście lepiej siedzieć w czystym
klimatyzowanym pokoju i patrzeć. Patrzeć na
byle co. Na coś zupełnie nieprawdźwiwego. Nie
się przy tym oszczędzi na ubraniach, butach i
wodociągach!

ĆWIEK